



CHARLOTTE LAMB



Zmienne losy Leonie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Leonie musiała mocno wygiąć szyję, by dostrzec swe odbicie w lustrze. To, co zobaczyła, zaparło jej wprost dech w piersi. Zobaczyła smukłą, bajkową postać w oszałamiająco białej sukni. Dziewczynie wydało się, że tam, w lustrze, stoi ktoś zupełnie obcy. Ktoś o znajomej, bardzo jasnej cerze i o takich samych, jasnobłond włosach, które okalały drobną twarz. Ten ktoś miał znajome, szeroko otwarte, ciemnoniebieskie oczy... Tak, nie mogło być wątpliwości, to jej własne odbicie patrzyło na nią z lustra. Było w nim jednak coś myląco nieznanego. Czy to możliwe, aby sama suknia aż tak ją zmieniła?

- Boże, przecież to nie ja! - westchnęła głośno i Angela niecierpliwie syknęła.
- Stój spokojnie, bo inaczej nigdy nie wyprostuję tej lamówki!
- Przepraszam - powiedziała Leonie, posłusznie prostując plecy. Popatrzyła przez okno na zimne, niebieskie niebo.

Była wczesna wiosna. Chłodny wiatr smagał orzechowe drzewa, rosnące wzdłuż londyńskich ulic i tylko różowe pąki na ich gałęziach rzucały nieśmiało, wyzwanie wciąż jeszcze zimowej pogodzie.

- Malcolm wraca za trzy dni? - zapytała Angela, wpinając ostatnią szpilkę i odsuwając się lekko do tyłu, by ocenić końcowy efekt swojej pracy.

Angela uparła się, że ta suknia będzie prezentem ślubnym od niej. Nawet nie pozwoliła Leonie zapłacić, ani za drogi materiał, ani za wstążki i koronki.

Suknia była długa, z długimi rękawami i zapinało się ją wysoko pod szyją. Ten ekstrawagancko staroświecki styl dawał niesłychanie romantyczny efekt i sprawiał, że dziewczyna wyglądała w tej kreacji niczym przebudzona do życia księżniczka z dawnych czasów. Od razu było widać, że Angela jest mistrzynią krawieckiego kunsztu.

(Leonie nie dziwiła się wcale, że klienci Angeli skłonni są bez sprzeciwów słono płacić za jej usługi.)

- Och, naprawdę, zbyt wiele... - próbowała protestować Leonie, gdy przyjaciółka oznajmiła, że suknia będzie prezentem ślubnym od niej.

- Tylko się nie sprzeciwiaj, ja już postanowiłam - powiedziała wtedy stanowczo Angela, która nie lubiła zbyt mocnych ceregieli.

- Malcolm wraca we wtorek - twarz Leonie rozjaśnił promienny uśmiech.

- Czy nie uważasz, że on wyjeżdża zbyt często? Leonie spochmurniała.

- Ostatnio tak - kiwnęła niechętnie głową. - Wydaje mi się, że jego brat wysyła go w podróże handlowe specjalnie, byle tylko był z dala ode mnie.

Nagły smutek zamglił jej niebieskie oczy i dodała z westchnieniem:

- Wiesz, oni zrobiliby wszystko, żeby nie dopuścić do naszego małżeństwa. Uważają, że nie jestem godna Malcolma.

- To znaczy, że wciąż traktują cię z góry?! - Angela aż podskoczyła z oburzenia. - Za kogo oni się, u licha, uważają?! Za wielką arystokrację?!

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - uśmiechnęła się smutno Leonie. - Pamiętaj, że oni są naprawdę bardzo bogaci. Firma Kent Warlock Mills istniała już w XIX wieku, a ich dom jest chyba jeszcze starszy. Co prawda, nie mieszkali w nim od samego początku... Przypuszczam, że kupili Warlock House jakieś pięćdziesiąt lat temu, jednak pani Kent wychowała się w starym zamku, gdzieś w Szkocji.

- Ale to wcale nie daje jej prawa do traktowania ciebie z wyższością. Boże, jak ja nienawidzę snobów!

Angela zawsze była bardzo bezpośrednia. Niewysoka, stanowcza brunetka, o przenikliwych, brązowych oczach i niesamowitej wręcz energii. Była przeciwieństwem Leonie, a jednak dziewczęta przyjaźniły się ze sobą od wielu lat. Może przyjaźniły się dlatego, że Leonie miała w sobie coś bezbronnego i potrzebowała kogoś, kto by

się nią opiekował i udzielał jej dobrych rad. A Angela była po prostu do tego stworzona.

- Właściwie to trudno się dziwić pani Kent. Jest zawiedziona, że jej syn nie poślubia kogoś z wyższej sfery - Leonie starała się być obiektywna, co jeszcze bardziej zirytowało Angelę.

- Masz na myśli kogoś z pieniędzmi!

- Naprawdę nie sędzę, aby była to tylko kwestia pieniędzy. Oni po prostu chcieliby, żeby Malcolm wybrał kogoś podobnego do nich samych, kogoś ze znanej, szacownej rodziny. Ja przecież jestem tylko zwykłą sekretarką bez „pochodzenia”.

- No wiesz! Powinni raczej dziękować Bogu, że Malcolm znalazł kogoś tak miłego i ślicznego jak ty! - w głosie Angeli słychać było szczerą pasję.

- Dzięki - Leonie uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. - Mam nadzieję, że jakoś się do mnie przyzwyczają. Zrobię wszystko, aby im dorównać. Poza tym zdają sobie chyba sprawę, że uczucia między mną i Malcolmem są prawdziwe i stałe. Znamy się przecież już dziewięć miesięcy. Oby tylko przyszli na ślub...

- A co, mogą nie przyjść?

- Malcolm twierdzi, że przyjdą. Ale nie odpowiedzieli na zaproszenia, które wysłała im moja mama.

- Jeśli ich nie będzie, to nie są warci, żebyś zawracała sobie nimi głowę! To ma być twój wielki dzień i za nic w świecie nie pozwól, aby ci go zepsuli. Zresztą zobaczysz, po waszym ślubie sami się jeszcze będą napraszali.

- Naprawdę tak myślisz? - delikatna twarz Leonie na powrót pojaśniała.

Angela przytaknęła gorliwie.

- Jasne, że tak. Bogaci ludzie są realistami. To jedyna rzecz, której możesz być pewna. Gdy już będziesz prawowitą żoną Malcolm, po prostu będą musieli cię zaakceptować. Dla własnego dobra... O matko! Patrz, która godzina! - Angela z przerażeniem popatrzyła na wiszącą nad kominkiem zegar.

- Umówiłam się z Jackiem o szóstej na West End. Nie zdążę już

nawet zawieźć tej sukni do domu. Hm, wiesz co, zostawię ją tutaj, ale błagam, strzeż jej jak oka w głowie...

- Nie martw się.

- Właśnie, że się martwię - pokręciła głową Angela i w pośpiechu zaczęła zbierać się do wyjścia. Przed samymi drzwiami zatrzymała się jeszcze i z niepokojem spojrzała na suknię. - Może powinnam jednak zostać i pomóc ci to zdjąć...

- Ależ poradzę sobie sama.

- Dobrze, tylko błagam, uważaj! Szczególnie na suwak.

- Tak jest!

- I pamiętaj, pod żadnym pozorem nie pokazuj jej Malcolmowi.

To przynosi nieszczęście.

- Przecież nie będę się z nim w ogóle teraz widziała!

- No, niby tak... - Angela najwyraźniej ociągała się z wyjściem. -

Aha, i włóż ją do pokrowca, zanim powiesz na wieszaku...

- Wiem! Idźże już, idź! Poradzę sobie! Naprawdę! - Leonie ze śmiechem wypychała przyjaciółkę z mieszkania.

- No dobrze - zaśmiała się Angela. - Trzymaj się więc i do jutra.

Trzasnęły drzwi małego mieszkanka i Leonie została sama.

Powoli odwróciła się, aby znów popatrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Ten widok wzbudzał w niej zachwyt i marzyła o chwili, kiedy zobaczy ją Malcolm. W dniu ślubu chciała wyglądać naprawdę nadzwyczajnie. I tak będzie. Przede wszystkim dzięki Angeli. Nikt inny nie uszyłby takiej sukni. Wspaniała, niezwykła - po prostu suknia na ten jedyny, najważniejszy dzień w jej życiu. Będzie w niej wyglądała dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła... Hm... Dlaczego więc cały czas dręczy ją przykre uczucie zagubienia i niepewności?...

Dziewczyna w zadumie zmarszczyła brwi. Była do szaleństwa zakochana w Malcolmie. Nie miała żadnych wątpliwości, że tak jest. Z drugiej strony, trzeba jednak spojrzeć prawdzie w oczy: dzień ich ślubu wcale nie zapowiadał się różowo. Zresztą, w ogóle cała przyszłość z mężczyzną, którego przecież tak bardzo kochała, rysowała się dość mgliście.

To właśnie ten brak pewności, jak ułoży się jej dalsze życie, od tygodni powodował męczącą huśtawkę nastrojów: od przejmującego szczęścia - do panicznego niepokoju i strachu. Nie chodziło bynajmniej o Malcolma. Przyczyną była wrogość jego rodziny.

Kentowie od samego początku nie ukrywali oburzenia i braku sympatii, gdy pewnego lipcowego wieczoru Malcolm przyprowadził ją do swego domu. Leonie pamiętała każdy szczegół tamtego pierwszego spotkania.

Wieczór był skwarny. Z daleka dochodziły groźne odgłosy burzy, która szalała na zbożowych polach Essexu, otaczających posiadłość Warlock. Niebo pokryło się brunatnymi chmurami i co chwila rozjaśniało światłem błyskawic przecinających horyzont. Powietrze było wilgotne i duszne.

Przerażoną burzą Leonie wprost ogłuszył przepych domu, który zobaczyła. Był to olbrzymi budynek w stylu królowej Anny, z kamienia i czerwonej cegły, otoczony wspaniałym parkiem. Jego wnętrze wyglądało jeszcze bardziej imponująco: boazerie ze złotego dębu, lśniąca podłoga wyłożona drewnianą kostką i drogie, antyczne meble. Wszystko to w powodzi kwiatów rozsiewających słodkie zapachy. Nerwowe napięcie dziewczyny wzrosło do tego stopnia, że gdy witała się z matką Malcolma, drżała niczym w gorączce.

Pani Kent była szczupłą, elegancką kobietą o ciemnych, lekko tylko posiwiałych włosach. Owdowiała pięć lat temu. Miała na pewno ponad sześćdziesiąt lat, choć stanowczo na tyle nie wyglądała.

Nieśmiały uśmiech dziewczyny przy powitaniu pozostał bez odpowiedzi. Pani Kent zmierzyła ją wzrokiem z zimną pogardą, unosząc przy tym swe cienkie brwi. Aby uniknąć przeszywającego spojrzenia jej szarych oczu, Leonie pośpiesznie odwróciła wzrok - po to tylko, by napotkać takie samo lodowate spojrzenie, należące do starszego brata Malcolma, Gilesa Kenta. Z bólem serca zrozumiała, że nie jest osobą mile widzianą w progach tego domu.

Przez kolejne tygodnie Kentowie dokładali wszelkich starań, aby Leonie poznała kobiety, które Malcolm mógłby poślubić, gdyby jej

nie spotkał. Wszystkie były identyczne: bogate i ładne, wyniosłe i aroganckie. Kentowie bardzo chcieli, by Leonie w pełni uświadomiła sobie swoją niższość i jak najszybciej zrozumiała, że znajduje się w nieodpowiednim dla siebie towarzystwie. Skromność i nieśmiałość dziewczyny w dużym stopniu ułatwiły im to zadanie.

Pewnego jesiennego wieczoru, podczas ogrodowego przyjęcia w Warlock House, Leonie stała i patrzyła z rozpaczą, jak Malcolm tańczy z inną kobietą. Ciało tancerki mocno przywarło do jego ciała i razem falowali w rytm melodii. Leonie czuła w gardle dławiące łyzy, ale zacisnęła zęby i udawała, że bawi się wspaniale. Ostatecznie Malcolm wybrał właśnie ją. Nie oświadczył się żadnej z tych wszystkich panien.

- Dobrze się bawimy? - usłyszała za sobą sarkastyczny głos Gilesa Kenta.

Brat Malcolmma najwyraźniej nagle postanowił dotrzymać jej towarzystwa.

Dziewczynę ogarnął niepokój, który zawsze odczuwała w obecności tego człowieka. Giles odzywał się do niej rzadko, ale kiedy to robił, czuła niezrozumiałe napięcie i zagrożenie.

- Owszem, dziękuję - odparła, wywołując ironiczny uśmiešek na jego ustach.

- Coś nie bardzo na to wyglądamy.

- Nie mam wpływu na to, jak wyglądam - niemal krzyknęła urażona.

- Myślę, że masz - zaśmiał się kpiąco.

Bez żadnego wytłumaczalnego powodu poczuła nagle, że całe jej ciało ogarnia płomień. W jego twarzy, jak zwykle, czaiła się wrogość, lecz tym razem było tam jeszcze coś innego - jakby nagle zdał sobie sprawę, że Leonie jest kobietą.

Oblała się ciemnym rumieńcem, co najwyraźniej jeszcze bardziej rozbawiło Gilesa.

- Czyżbyś myślała, że nie zwróciłem uwagi na to, jak wyglądasz? - obrzucił ją wymownym spojrzeniem. - Och, jestem pewien, że mężczyźni zawsze zwracają na to uwagę. Jesteś urocza i naprawdę

nie dziwię się, że Malcolm cię pragnie. Zapewne sam nie byłbym w stanie ci się oprzeć!

Leonie poczułaby się obrażona, gdyby jego słowa aż tak jej nie zaskoczyły. Uwagi tego typu były ostatnią rzeczą, jaką spodziewałaby się usłyszeć od Gilesa Kenta.

Wtedy on wyciągnął rękę i opuszkami palców dotknął jej szyi. Chłodne palce przesunęły się od jej ucha, po karku aż do nagiego ramienia. Leonie z przerażeniem poczuła, jak ogarnia ją fala nieznośnego gorąca. Gwałtownie odskoczyła do tyłu, patrząc na niego swymi ogromnymi oczami, w których teraz błyszczały zdumienie i groza.

W sekundę później był już przy nich Malcolm.

- Co tu się dzieje?! Giles, o co chodzi?

- Próbowałem odbić ci dziewczynę - oświadczył spokojnie Giles.

Leonie nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. O co mu chodziło?

Dlaczego usiłował narobić jej kłopotów? Na pewno chciał ją obrazić. Albo wywołać kłótnię między nią i Malcolmem. To, że naprawdę mogła mu się podobać, oczywiście w ogóle nie wchodziło w rachubę. Jedynym uczuciem, jakim od początku darzył ją Giles Kent, była przecież tylko zimna wrogość.

- Aha, próbowałeś odbić mi dziewczynę... - twarz Malcolma spurpurowiała.

Stali sprężeni, jakby za chwilę mieli rzucić się na siebie. Leonie zbladła.

- Przestańcie, błagam, przestańcie - powtarzała przerażona.

Malcolm spojrział na nią z troską w oczach.

- Kochanie, już dobrze. - Odprężył się nieco. - Nie przyłożę mu, choć naprawdę na to zasługuje.

- Chodźmy stąd - wyszeptała Leonie, rozpaczliwie unikając wzroku Gilesa. Malcolm jednak najwyraźniej nie zamierzał jeszcze odchodzić. Był na to zbyt zdenerwowany.

- Mogłem się tego spodziewać. Wcześniej czy później - sapnął z furją. - On jest przyzwyczajony, że kobiety robią wszystko, by zwrócić na nie uwagę. Pewnie myślał, że wystarczy pstryknąć i ty też

będziesz jego.

Giles stał bez ruchu. Jego twarz nie wyrażała nic, ale widać było, że jest spięty.

- Dokładnie tak myślałeś, co Giles? - zaśmiał się nieprzyjemnie Malcolm. - Nic z tego, bracie. Z nią nie pójdzie ci tak łatwo. Nie uda ci się przeszkodzić naszemu małżeństwu. Kocham Leonie i nawet jeśli wam się to nie podoba, lepiej będzie, jak się zaczniecie do tego przyzwyczajać!

Serce Leonie podskoczyło. W tym momencie naprawdę zaczęła wierzyć, że mogą być razem szczęśliwi.

Na wspomnienie tamtego wieczoru twarz jej znów się rozjaśniła. Zadymiony ogród, śmiech i muzyka w oddali; Giles Kent patrzący na nią nieprzyjaznym wzrokiem i opiekuńczy, pełen miłości uśmiech Malcolm. Będziemy szczęśliwi! Na przekór wszystkim!

Dziewczyna odsunęła się od lustra i z rozmarzeniem zaczęła odpinać karczek sukienki. W tym momencie usłyszała dzwonek do drzwi. - Oho, Angela zmieniła zdanie i nie zostawi tu swojej cennej sukni na noc - mruknęła do siebie Leonie, po czym uniosła tren sukni i ze śmiechem pobiegła otworzyć drzwi.

Ale na progu nie było Angeli, tylko wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze. Giles Kent.

Uśmiech zamarł na ustach Leonie. Jej niebieskie oczy rozszerzyło przerażenie.

- O, to... ty... - wyjąkała, patrząc gdzieś w bok.

Jak zawsze widok jego zimnego, obojętnego spojrzenia był ponad jej siły. Znali się od miesięcy i przypuszczała, że Giles nigdy jej nie polubi. Jednocześnie pamiętała dziwny wyraz jego oczu, który po raz pierwszy zobaczyła na tym nieszczęsnym przyjęciu. Co gorsza, na przekór rozsądkowi, męczyło ją przy nim trudne do nazwania uczucie - niepokojąca mieszanina wrogości i fascynacji, czemu dziewczyna gniewnie starała się oprzeć. Dlaczego, na litość boską, za każdym razem, gdy go widziała, wstrząsał nią ten meczący dreszcz?

Jedynym wytłumaczeniem mogło być tylko to, że wstręt i odraza były tak silne, iż wzbudzały jakąś niby reakcję chemiczną - podobną

do namiętności i pożądania. Miała nadzieję, że on nie zdaje sobie sprawy z tych głęboko ukrytych uczuć, lecz coś drwiącego w jego szarych oczach zdawało się mówić, iż jest dokładnie odwrotnie.

Choć dziś było inaczej, Zmarszczyła brwi. Dziś Giles wyglądał jeszcze bardziej wrogo niż zwykle. Patrzył na nią ponurym wzrokiem, mocno zaciskając przy tym szczęki.

Dlaczego przyglądał jej się w ten sposób? Po co przyszedł, skoro czuł do niej taką niechęć? Mimochodem zauważyła, że miał na sobie czarny krawat. Może był na jakimś pogrzebie, pomyślała z roztargnieniem. To by tłumaczyło ten ponury nastrój. Nigdy przedtem nie był w jej mieszkaniu, dlaczego więc teraz?

- Czego chcesz? - spytała obcesowo.

Nie odpowiedział. Wydawał się być porażony jej widokiem. Pewnie nie spodziewał się, że otworzy mu drzwi ubrana w ślubną suknię. I zastanawia się, dlaczego ona ma ją na sobie.

- Właśnie ją przymierzałam - próbowała się tłumaczyć.

- Ach tak... - sprawiał wrażenie, jakby oglądanie jej w koronkach i jedwabiu było ponad jego siły. Zresztą prawdopodobnie było. Przypominało mu to, że lada dzień Leonie zostanie jego bratową.

- Jesteś sama? - zapytał, bezceremonialnie zaglądając do mieszkania.

Czyżby myślał, że jest tam Malcolm? Nie, oczywiście, że nie. Przecież dobrze wiedział, że brat jest w Szwajcarii.

- Tak, sama - powiedziała ostrożnie Leonie zastanawiając się, czy w ogóle wpuszczać go do domu.

Po owym incydencie na przyjęciu, Malcolm ostrzegał ją kilkakrotnie, by nie ufała Gilesowi.

- On jest bezwzględny w stosunku do kobiet - mówił. - Giles nie ma skrupułów w interesach, nie ma żadnych względów dla rodziny, po prostu dla nikogo, ale dla kobiet w szczególności.

Przygryzła usta. Nie wiedziała, co robić.

- Angela, moja przyjaciółka, która szyje tę sukienkę, właśnie wyszła... - wyrzuciła z siebie. - Zaraz powinna wrócić - dodała pośpiesznie.

Znów przytaknął, ale wzrok miał nieobecny.

- Mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź, postąpił krok do przodu i Leonie musiała go przepuścić.

Wiele dałaby za wiadomość, po co tu przyszedł. Na pewno nie była to zwykła, przyjacielska wizyta. Czyżby przyszedł prosić ją, aby odeszła od Malcolma? Przekonywać? Grozić?

Czuła się idiotycznie w tej wyszukanej, romantycznej sukni. Chętnie poszłaby się przebrać, ale obawiała się, iż mogłoby go to zachęcić do pozostania tu dłużej niż to konieczne.

- Czy masz trochę brandy? - zapytał ni z tego, ni z owego, patrząc jej prosto w oczy. Nie mogła opanować widocznego drżenia.

- B... brandy? Nie, wybacz, obawiam się ... - rozglądała się bezradnie po pokoju. - Ja nie piję i nie mam alkoholu w domu. W lodówce jest trochę białego wina do obiadu, kiedy Malcolm wróci...

- Malcolm nie wróci - przerwał szorstko, co wprawiło ją w jeszcze większą konsternację.

- To znaczy, że... że podróż się przedłuży?

Ach tak, próbują przetrzymać Malcolma za granicą. Wciąż mają nadzieję, że uda im się nas rozłączyć...

Giles nie odpowiedział. Zamiast tego ujął ją za ramiona i popchnął na krzesło.

Była zbyt zaskoczona, aby walczyć. Przez moment jej ciało poddało się przemocy. Giles wyglądał tak dziwnie, że się przeraziła. Znów będzie próbował ją napastować! Tylko, że tym razem byli sami i nie wiedziała, czy zdoła się przed nim obronić. Był dużo silniejszy.

Przysunął się do niej. Jego kamienna twarz wyglądała niczym ponura maska.

- Błagam, nie... - wyszeptała drżącym głosem. Ale wtedy on przerwał jej szorstkim, surowym tonem:

- Leonie, posłuchaj... Boże, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Może... Chyba najlepiej po prostu to z siebie wyrzucić... Po prostu... - przerwał na chwilę, jakby chciał złapać oddech.

- Posłuchaj... on nie żyje.

Leonie przyglądała mu się z obojętnym wyrazem, nic jeszcze nie rozumiejąc.

- O czym ty mówisz?
- Malcolm... Malcolm nie żyje...

Nie była w stanie oddychać. Jej serce przestało nagle bić. Milczała. Po prostu siedziała z oczami utkwionymi w jeden punkt.

A Giles mówił. Mówił głosem pełnym bolesnego gniewu.

- Dziś rano. Zabił się dziś rano. Na stoku narciarskim. Zjeżdżał zbyt szybko i z kimś się zderzył. Uszkodzenie czaszki. Zmarł na miejscu. Rozumiesz, pęknięta narta tego drugiego człowieka wyleciała w powietrze i uderzyła Malcolma w głowę. Przypadek jeden na milion. Tak mówią. Idiotyczny wypadek, który wcale nie musiał się zdarzyć, gdyby tylko myślał o tym, co robi...

Leonie nie poruszyła się. Od chwili, gdy usłyszała pierwsze słowa, była jak martwa. Malcolm nie żyje - huczało jej w głowie, gdy tak siedziała wpatrując się w Gilesa. Jej szeroko otwarte oczy patrzyły nieruchomo, jakby była chińską lalką. Malcolm nie żyje... nie żyje... nie żyje. Słowa grzmiały, wypełniały całe jej wnętrze, huczały złowrogo. Lecz wcale im nie wierzyła. Nie mogła uwierzyć - to byłoby ponad jej siły.

- Zadzwonili do mnie z Zurychu - mówił Giles.
- Nasi klienci z tego miasta dowiedzieli się o wypadku i mnie zawiadomili... Kilka godzin temu.

Zamrugnęła oczami. Jej twarz przybrała straszny wyraz. Malcolm nie żyje od kilku godzin. Przez cały ten czas, kiedy ona śmiała się, rozmawiała, przymierzała swoją suknię ślubną...

- Musiałem najpierw powiedzieć matce - przepraszająco wyjaśnił Giles. - Przyjęła to strasznie... Wiesz, Malcolm był jej ulubieńcem. Musieliśmy zawołać lekarza, dał jej środki uspokajające. Teraz mama śpi.

Leonie nie słuchała. Jej oczy miały martwy, nierozumiejący wyraz.

- Nie, to nieprawda! - powiedziała nagle. - Malcolm jest w podróży handlowej. Nie pojechał jeździć na nartach. Kłamiesz. Ty i cała twoja rodzina! Nienawidzicie mnie. Od samego początku mnie

nienawidziliście!

- jej głos podniósł się histerycznie. Poderwała się i zaczęła wypychać Gilesa z pokoju z taką nienawiścią, jakby to on zabił Malcolma.

- Kłamiesz! Nie wierzę, że on nie żyje!

Giles pochwyił ją, ale wyrywała mu się z dziką zapalczywością.

- Puść mnie! Nie dotykaj mnie!

- Uspokój się — powiedział przez zęby. - Zachowujesz się jak oszalała. Musisz mi uwierzyć. To jest prawda. Leonie, jak mógłbym powiedzieć ci coś takiego, gdyby to nie była prawda. Przecież wiesz, że mówię prawdę. Nie próbuj oszukiwać samej siebie, bo stracisz rozum. - Zachwiała się, zamknęła oczy i pozwoliła posadzić się z powrotem na krześle. - Nie powinien wychodzić na ten stok - powiedział Giles, pochylając się nad nią i ujmując delikatnie jej lodowate dłonie. Zaczął je powoli, systematycznie rozcierać. Fala ciepła rozeszła się po zmarzniętych palcach.

Dziewczyna nie próbowała wyrwać swoich dłoni. Nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Malcolm nie mógł tak po prostu umrzeć. Jeszcze dziesięć minut temu szykowała się do ślubu, jej życie wypełnione było obietnicą, przepełnione szczęściem, a teraz... Malcolm nie żyje. Nie żyje. Nie żyje. Te straszne słowa znów odezwały się echem w jej głowie. Stała nad bezdenną przepaścią: pustka i nicość. Jej życie się skończyło. Koniec. Po wsze czasy.

- Powinien był zostać w Zurychu, ale pojechał na narty. Odwołał zresztą dwa ważne spotkania. Typowe, cały Malcolm - Giles mówił szorstkim, beznamiętnym tonem. - Zawsze taki był: nie zważać na nic, zapomnieć o pracy, byle się tylko zabawić, rozerwać!..

- Milcz! - krzyknęła nagle histerycznie. - Nie wolno ci tak o nim mówić! - znów poderwała się z krzesła i odepchnęła go od siebie gwałtownie. -Malcolma też nienawidziłeś! Nienawidziłeś nas oboje! Weź te ręce! Nie dotykaj mnie!

- Jesteś w szoku.

- Zostaw mnie! - próbowała odejść, uwolnić się od niego, ale

zaplątała się w długi tren sukni.

- Zdjąć... Natychmiast... Muszę to zdjąć... muszę to zdjąć... -
mamrotała niczym w gorączce.

Nie mogła znieść widoku swojej sukni. Przypominała jej tamto lustrzane odbicie: radosnej panny młodej, całej w bieli, koronkach i jedwabiu...

- Boże, muszę to zdjąć - jęczała i próbowała rozpiąć suwak.

Giles podszedł do niej od tyłu. Poczowała muśnięcie jego chłodnych palców na skórze i zimny dreszcz przeniknął jej ciało. Zadygotała. Suwak rozsunał się odsłaniając jej gładkie, białe plecy. Sukienka opadła na ziemię. Dziewczyna miała teraz na sobie tylko skąpą, koronkową bieliznę. Nie miało znaczenia, że Giles na nią patrzy - nie było Gilesa, nie była świadoma jego obecności.

Kopnęła sukienkę ze złością i jak automat skierowała się w stronę sypialni. W jakiś sposób Giles znalazł się tam pierwszy, choć nie widziała, żeby ją mijał. Zresztą nie myślała o tym. Stał, trzymając w ręku jej szlafrok.

- Włóż to na siebie. Przeziębisz się.

- Zostaw mnie w spokoju! - próbowała go ominąć.

- Leonie, na litość boską - szepnął ochryple, z oczami utkwionymi w jej bladej twarzy.

- Odejdź, po prostu odejdź - wyszeptała. - Nie mogę ścierpieć twojej obecności.

Zacisnął wargi, ale nie postąpił ani kroku. Zawładnął nią, jakby była szmacianą laleczką. Siłą wcisnął ją w szlafrok. Próbowała się bronić, lecz dał sobie radę. Ze wszystkim dawał sobie radę. Nie chciał jej wśród swojej rodziny. I to też mu się udało. Malcolm nie żył i Leonie nie zostanie bratową Gilesa.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony - wycodziła przez zęby. - Nie chciałeś, żeby Malcolm mnie poślubił. Teraz już tego nie zrobi. Masz pewnie ogromną satysfakcję.

- Proszę bardzo, wyładuj na mnie swoją nienawiść. Przynajmniej jest to zdrowa reakcja. Twoja choroba, jeśli się przeziębisz, nie przywróci życia Malcolmowi. Dlatego proszę, żebyś

się położyła i spróbowała zasnąć.

Nie odpowiedziała. Jakie to ma znaczenie, że będzie chora? W tej chwili cały świat stracił znaczenie. Malcolm odszedł. Nie żyje. Jej myśli wciąż krążyły wokół tego faktu, ale przez to nie stawał się on ani trochę bardziej wiarygodny.

Giles obwiązał pasek od szlafroka wokół talii Leonie i przyjrzał się z niepokojem jej śmiertelnie bladej twarzy.

- Czy jest ktoś, do kogo mógłbym zadzwonić? Twoja matka?

Poproszę ją, aby przyszła.

- Nie chcę tu nikogo.

- Nie powinnaś zostawać teraz sama. Ktoś musi tu być, żeby się tobą opiekować. Ja bym został, ale muszę wrócić do mojej matki. Będę jej potrzebny, gdy się obudzi. Jaki to numer? - Giles sięgnął po telefon.

- Nie chcę jej tu.

- To może jakaś przyjaciółka - nalegał cierpliwie.

- Ta, która szyła ci sukienkę?

- Nie, nie dzwoń do nikogo. I idź już, idź - szepnęła cicho. - Chcę być sama. Po prostu sama.

- Leonie.. - powiedział miękko, lecz ona nie była w stanie dłużej słuchać. Zobaczyła otwierającą się przed nią przepaść i bezsilnie pozwoliła jej się pochłonać. Gdy odzyskała przytomność, leżała w łóżku. Pod głowę ktoś jej podłożył poduszkę z kanapy i przykrył ją pledem. W pokoju panował półmrok. Przez sekundę Leonie nie mogła przypomnieć sobie, co się stało, ale po chwili pamięć wróciła. Myśląc, że jest sama, po raz pierwszy pozwoliła sobie na łzy. Z jej piersi wyrwało się bolesne łkanie.

Ktoś poruszył się przy oknie. Leonie odwróciła głowę. Z przerażeniem wpatrywała się w ciemną postać mężczyzny, słabo tylko oświetloną światłem dochodzącym z ulicy. Mężczyzna wstał, podszedł do łóżka i pochylił się nad nią. To był Giles Kent.

A więc nie poszedł. Wciąż tu był.

- Zadzwoniłem do twojej matki - oznajmił cicho.

- Powinna tu być w ciągu godziny. Zostanę, dopóki nie

przyjedzie. Czy przynieść ci coś? Herbatę? Mleko?

- Nie - wydusiła z siebie zdławiony szept. - Nie chcę nic. Nikogo. Nie chcę, żebyś tu siedział.

- Rozumiem - przerwał spokojnie. - Ale jesteś w szoku i nie możesz zostać sama. Zrobię ci gorącą herbatę. Zobaczysz, że poczujesz się lepiej.

- Dobrze, zrób mi herbatę.

- No widzisz? Grzeczna dziewczynka - prawie się uśmiechnął.

Zaraz wrócę.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Leonie leżała bez ruchu. Drżała z wewnętrznego chłodu - mimo otulającego ją ciepłego koca. Nareszcie była sama. Mogła płakać, lecz teraz zabrakło jej łez. Czuła tylko w sercu duszący, straszliwy ból. Zamknęła oczy i zobaczyła twarz Malcolma. Uśmiechał się tym swoim rozbajającym uśmiechem, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Jak cała jego rodzina miał ciemne włosy, jasne oczy i szczupłą sylwetkę. Ale w Malcolmie te cechy tworzyły jakby zupełnie inny wzór. Nie był tak nieprzystępny, jak jego brat. Był dużo przystojniejszy i miał lepsze serce. Może był troszkę zepsuty przez matkę, jak to powiedział Giles, lecz Leonie wcale się nie dziwiła, że pani Kent rozpieszczała swojego młodszego syna. Musiał być uroczym dzieckiem. Często, na przykład, wspominał, iż Giles w dzieciństwie był zazdrosny o pieszczoty matki. Malcolm uważał to za zabawne i chyba był ze swojej uprzywilejowanej pozycji skrycie zadowolony.

Leonie zawsze miała wrażenie, że Malcolm jeszcze tak całkiem nie wydorósł, ale była pewna, że gdy założą własną rodzinę i będą mieli dzieci, to się zmieni. Teraz już nigdy nie będziemy mieli dzieci - pomyślała z nagłym skurczem żalu. Ból wstrząsnął jej ciałem i był to moment, gdy łzy nareszcie zaczęły płynąć jej po twarzy. Nie była w stanie powstrzymać dłużej łkania i kiedy drzwi sypialni znów się otworzyły, pośpiesznie ukryła twarz w poduszkach. Nie chciała, by Giles widział jej łzy.

Słyszała, jak postawił szklanę na szafce nocnej. Leżała bez ruchu, drżąc od powstrzymywanego z trudem szlochu. Pragnęła, aby

pomyślał, że zasnęła i poszedł sobie.

Giles stał nad nią przez chwilę, milcząc, a potem cicho powiedział:
- Będę w pokoju gościnnym, gdybyś mnie potrzebowała, Leonie.
Wypij teraz herbatę. Nie pozwól, żeby ostygła...

Gdy wyszedł, usiadła na łóżku. Przestała szlochać, ale łzy wciąż płynęły jej po policzkach. Zawsze miała nadzieję, że w końcu zaprzyjaźni się z Gilesem, z Lindą - mieszkającą w Devon starszą siostrą jego i Malcolma, z ich matką. To już też nigdy się nie zdarzy. Choć Giles był dziś dla niej miły. Miłszy niż kiedykolwiek przedtem. Sam też musiał być w szoku - pomyślała przesuwając ręką po swych mokrych oczach i twarzy.

Kentowie bardzo się kochali. Prawdziwa rodzina, pełna miłości i wzajemnego przywiązania. Nie taka, jak jej własna. To zresztą było jednym z powodów, że tak pragnęła stać się pewnego dnia częścią ich rodziny. Teraz jest za późno.

Giles posłał po matkę. Oczywiście, Martha przyjdzie. Zawsze robiła wszystko to, co jej zdaniem uchodziło za właściwe. Robiła tak ze względu na opinię. Na pewno przyjdzie ubrana na czarno. Miała taką specjalną, czarną sukienkę - na każdą okazję. Czarny kolor był zdaniem matki elegancki, stylowy i twarzowy. Będzie milcząca i smutna, ale Leonie wiedziała, że nie może od niej oczekiwać pocieszenia, ani nawet prawdziwego zrozumienia.

Tak. Lepiej by było, gdyby Giles wcale do matki nie dzwonił.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwa miesiące później Leonie, osłonięta parasolem w paski, wylegiwała się na plaży we Włoszech. Jej ciało lśniło od olejku i rumieniło się już pierwszą opalenizną. Angela siedziała obok na materacu i robiła sobie artystyczny pedicure, używając jasnoróżowego lakieru. Ziewała co jakiś czas przeciągle. Ostatniej nocy nie mogły się wyspać, gdyż najpierw do późnych godzin bawiły się w dyskotecę, a potem, o świcie, zostały obudzone śmiechami i odgłosami pluskania dzieci baraszkujących w hotelowym basenie.

- Nie uważasz, że po powrocie z Włoch należą się nam wakacje wypoczynkowe? - westchnęła Angela, wywołując tym lekki uśmieszek Leonie.

- Hm, to ty chciałaś tu przyjechać.

- A skąd niby miałam wiedzieć, że ten hotel jest siedliskiem opętańczej działalności od świtu do nocy? Z Londynu wyglądał na przybytek spokoju i ciszy. Przecież właśnie tego szukałyśmy.

- Też prawda.

- Ale powiedz, czy jednak nie spędzasz tu miło czasu? - w głosie Angeli zadźwięczały ledwo wyczuwalne nutki niepokoju.

Leonie uśmiechnęła się.

- Wiesz... no tak, to jakiś cud - powiedziała.

Zapatrzyła się w lśniące, niebieskie morze i nachylające się nad nim niebo. Tworzyło to wrażenie nieskończonego błękitu... Westchnęła. Przepiękny widok. Szczególnie z rana, kiedy niebo i morze wyglądały, jakby się właśnie na nowo narodziły.

Przez pierwsze dni po przyjeździe, Leonie prawie nie zwracała uwagi na to piękno. Po prostu podążała za Angelą z hotelu na plażę i z plaży znów do hotelu, tak samo nieczuła na otaczającą ją rzeczywistość, jak w dniu, w którym Giles Kent powiadomił ją o śmierci Malcolma. Potem jednak, powoli, czar słońca roztopił lód, który od tygodni tkwił w jej sercu. Otworzył się przed nią nowy świat.

- Wakacje. Oto czego nam potrzeba - powiedziała Angela pewnego majowego poranka.

Była sobota i obie miały wolny dzień. Angela przyszła do przyjaciółki, aby pomóc jej przetrwać weekend. Leonie udawało się bowiem stawić czoło życiu wtedy, kiedy pracowała, lecz gdy była sama, pochmurniała i nie potrafiła powstrzymać myśli błędzących wokół śmierci Malcolma. Nie mówiła o tym Angeli, ale przyjaciółka i tak się domyśliła. Jakkolwiek było, Angela zawsze wpadała do niej podczas weekendów, aby dotrzymać jej towarzystwa albo namówić do wyjścia z domu.

Tamtego poranka Angela stała przy oknie i patrzyła na znajdujące się w dole ogrody, pełne wiosennych kwiatów. Tulipany, białe lilie, żonkile. Naprzeciwko nich rozciągały się szeregi mokrych, londyńskich dachów.

Leonie usiadła przy stole i zajęła się swoją układanką, która miała dwa tysiące elementów i była niewyobrażalnie trudna - jeśli w ogóle możliwa do ułożenia. Dziewczyna rozpoczęła ją w dniu pogrzebu Malcolma i, jak do tej pory, nie ułożyła nawet jej ćwierci, mimo że ślęczała nad tym w każdej wolnej chwili. Dawało jej to jakieś zajęcie.

- Słoneczne, zagraniczne wakacje - powtórzyła Angela, odwracając się w stronę przyjaciółki.

Leonie ostrożnie dopasowała na obrzeżu układanki kawałek obrazka o dziwacznym kształcie, po czym podniosła wzrok, by spojrzeć na szare niebo ponad głową Angeli. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że od wielu dni pada deszcz.

- Tak, nie wydaje mi się, żebyśmy oglądały ostatnio zbyt dużo słońca - zgodziła się bezbarwnym głosem.

- No to co, jedziemy? - podchwyciła Angela.

- Chodź, pójdziemy do agencji Wilberforce i weźmiemy sobie trochę broszurek. Co to szkodzi, pooglądamy sobie.

Nie potrzebowały żadnych broszurek. Właściciel agencji zaproponował im dwutygodniową wycieczkę do Włoch, przecenioną, bo ostatnio we Włoszech turyści nie dopisują. Jedyna okazja. Dwa tygodnie w cudownym ośrodku nad brzegiem

Adriatyku.

Gdy pokazał im zdjęcia hotelu i podał cenę, Angela błagalnie spojrzała na przyjaciółkę:

- I co ty na to? Nie uważasz, że powinniśmy pojechać? To jest naprawdę świetna oferta.

Leonie wahała się przez chwilę, lecz potem pomyślała, że w ten sposób oderwie się od wszystkiego, co przypomina jej Malcolma...

- W porządku. Jedziemy.

Teraz minął już tydzień, odkąd tu przyjechały i Leonie nawet przez moment nie żałowała, że uległa namowom koleżanki. Nie mogła powiedzieć, iż czuje się szczęśliwa, ale przynajmniej znów zaczęła wierzyć w możliwość znalezienia szczęścia w przyszłości. Zaczynała na powrót zauważać otaczający ją świat, a za wszystko należało dziękować Angeli.

- Mmm, to jest życie - mruzczała teraz Angela, wyciągając się na materacu. - Mogłabym siedzieć tu cały rok i nic nie robić, tylko się opalać.

- Hej, nie przesadzałabym aż do tego stopnia - Leonie pokręciła wesoło głową. - Przypuszczam, że po jakimś czasie może się to znudzić.

- Może i tak. - Angela znów się przeciągnęła, ale ponieważ lenistwo i bezczynność nie leżały w jej naturze, już po pięciu minutach poderwała się dziarsko z materaca.

- Czy nie uważasz, że powinniśmy wybrać się dziś na tę wycieczkę do Ravenny? Wiesz, żeby zobaczyć bizantyjski kościół.

- No, jeśli chcesz - Leonie zaśmiała się domyślnie.

- Nie znam się na bizantyjskich kościołach, ale zawsze będzie to coś innego, niż leżenie na plaży, czy zwiedzanie sklepów.

- Też tak myślę - powiedziała Angela, a widząc rozbawioną minę koleżanki dodała ze śmiechem:

- Musisz przyznać, że opalałyśmy się dziś już wystarczająco długo.

Cotygodniowa wycieczka hotelowa do starożytnej Ravenny cieszyła się dużą popularnością. Autokar był już zapchany i choć

dziewczeta nie mogły siedzieć obok siebie, to i tak miały dużo szczęścia, że w ogóle znalazły się dla nich miejsca. Sąsiadką Angeli okazała się bardzo rozmowna pani koło siedemdziesiątki, a Leonie musiała usiąść obok młodego mężczyzny w drelichowych spodniach, który już przedtem spędził mnóstwo czasu, wpatrując się w nią w hotelowej restauracji. Teraz zachwycony młodzian postanowił natychmiast wykorzystać nadarzącą mu się okazję i poznać piękną nieznaną. Najpierw w pośpiechu powiedział, że na imię ma Adrian, że jest studentem architektury i mieszka z rodzicami w Sheffield, a potem sam zaczął zadawać jej nieskończoną liczbę pytań: skąd jest, czy mieszka sama, czy Angela to siostra, czy przyjaciółka, gdzie pracuje i czy lubi swoją pracę...

Leonie odpowiadała najogólniej, jak się dało, ale potem Adrian zmienił ton na bardziej poufały i przysunął się tak blisko, że ledwie mogła oddychać od duszącego zapachu jego perfumowanej wody po goleniu.

- Marzyłem o poznaniu ciebie, Leonie. Cóż za urocze imię! Nigdy nie spotkałem kogoś, kto miałby na imię Leonie. Musiałas zauważyć, że cię obserwowałem. Stanowczo jesteś najładniejszą dziewczyną w hotelu. Co ja mówię, w całym mieście! Biorąc to pod uwagę, przypuszczam, że na pewno masz narzeczonego?

Leonie zbladła i poczuła suchość w gardle. Na szczęście los uchronił ją przed koniecznością odpowiedzi, bo właśnie dojechali do San Vitale - bizantyjskiej katedry w Ravennie. Wszyscy zaczęli podnosić się z siedzeń, wyglądać przez okna i uwaga Adriana została, dzięki Bogu, rozproszona.

- O, dojechaliśmy! - wykrzyknął radośnie. - Zawsze marzyłem, że zobaczę tutejsze mozaiki. Są najsłynniejsze na świecie, wiesz?

- Nie, nie wiem - przyznała.

Było to bardzo nierozważne z jej strony, gdyż Adrian natychmiast spojrział na nią z radosnym zapałem eksperta, któremu dano szansę pouczać.

- Naprawdę? - ucieszył się. - Wiele mozaik z kościołów bizantyjskich zostało uszkodzonych, a nawet zupełnie zniszczonych

przed wiekami, natomiast te w Ravennie zachowały się w cudownym stanie. A wyobraź sobie, że pochodzą z szóstego wieku! Zobaczysz też zachwycające portrety cesarza Justyniana i jego żony Teodory. Słyszałaś coś o niej? Zanim poślubiła cesarza, podobno była prostytutką, a przynajmniej wysoko płatną kurtyzaną. Choć właściwie to nie wiem, czy to prawda.

Gdy wysiadali z autokaru, Adrian mówił wprost do ucha Leonie, która milczała zaskoczona. Angela obrzuciła ich najpierw zdumionym spojrzeniem, po czym uśmiechnęła się porozumiewawczo i postanowiła nawet do nich nie podchodzić.

W nadziei, że Adrian zamilknie, gdy głos zabierze przewodnik, Leonie pośpiesznie dołączyła do grupy.

Na próżno - chłopak niezłomnie perorował, aż w końcu zirytował też przewodnika, który zdecydowanym głosem zażądał ciszy. Wtedy Adrian w końcu zamilkł, skupił się na mozaikach i Leonie nareszcie mogła mu umknąć.

Wyślizgnęła się z katedry wprost pod gorące słońce Ravenny i postanowiła zwiedzić okoliczne sklepy w nadziei, że znajdzie prezent dla matki - coś wyjątkowego, by ją w końcu ułagodzić. Najlepiej, jakiś elegancki sweter albo oryginalną, skórzaną torbę.

Martha Priestley kochała eleganckie rzeczy i wiedziała, jak je nosić. Nieznajomi dawali jej najwyżej czterdziestkę i choć była o dobre dziesięć lat starsza, nigdy by się do tego nie przyznała. Był to jeden z powodów, dla których Leonie nie wolno było mówić do niej „mamo” czy „mamusiu”, a tylko po imieniu. Matce sprawiało ogromną przyjemność, gdy brano je za siostry. Zresztą, co Leonie dość szybko zrozumiała, jej matka nigdy specjalnie nie pragnęła dziecka. A już stanowczo nie pragnęła dorosłej córki.

- Byłam dzieckiem, kiedy wychodziłam za mąż - mówiła zawsze z żalem.

Rzeczywiście, gdy wychodziła za ojca Leonie, miała tylko osiemnaście lat, lecz w jej ustach brzmiało to, jakby była wtedy niewinną dziewczynką w szkolnym fartuszk.

- A potem nie zrobił niczego ponad to, że umarł i zostawił mnie

samą z dzieckiem - zwykła dodawać, gdy słuchacze wiedzieli, iż Leonie jest jej córką.

Leonie przypuszczała, że jeśli słuchaczem jest mężczyzna, który nie wie, że Martha ma córkę, to matka nawet o niej nie wspomina. Tym bardziej, że od wczesnych lat, od śmierci ojca, Leonie nie mieszkała z matką, lecz z babcią.

Nie było to nieszczęśliwe dzieciństwo. Kochała swoją babcię i, co ważniejsze, wiedziała, że sama też jest kochana i bardzo potrzebną samotnej kobiecie, której mąż i jedyny syn nie żyli. W pewnym sensie było to dzieciństwo sielankowe i idylliczne. Mieszkały poza miastem, w małej wiosce, blisko morza i lasu. Były tam kucyki, na których mogła jeździć i miała mnóstwo szkolnych przyjaciół.

Leonie nie czuła żalu do matki. Rozumiała, iż dziecko nie pasowało do stylu życia, którego pragnęła Martha Priestley.

Martha była właścicielką ekskluzywnego sklepu z konfekcją. Miała grono podobnie jak ona myślących przyjaciół i kilkunastu adoratorów. Małżeństwo i rodzina ją rozczarowały, więc nie zamierzała już powtarzać tego „błędu młodości”.

Była bardzo atrakcyjną kobietą o jasnych włosach, szlachetnych rysach i oczach podobnych do oczu Leonie, ale jaśniejszych, zimnych i trochę skośnych. Nosiała klasyczne ubrania, które nigdy nie wychodziły z mody, kosztowały fortunę i pasowały idealnie do jej chłodnej, angielskiej urody - czarne kostiumy, pastelowe garsonki, sznury pereł.

W dzieciństwie Leonie nie widywała matki zbyt często. Tak naprawdę, to poznały się dopiero po zaręczynach Leonie. Dopiero wtedy dziewczyna zrozumiała, jaką osobą jest w rzeczywistości Martha i wcale nie była tą osobą zachwycona.

Rodzina Malcolma była bardzo bogata. Mieszkali w pięknym domu i obracali się w kołach, do których Martha zawsze pragnęła należeć. Nic więc dziwnego, że wiadomość o zaręczynach córki przyjęła niczym osobisty tryumf. Ślub miał być towarzyskim wydarzeniem roku i nalegała, żeby wszystkie przygotowania jej pozostawić. Śmierć Malcolma pokrzyżowała te plany. Martha była

blada ze złości, gdy weszła tamtego dnia do mieszkania córki.

Leonie nigdy nie zapomni tego, co wtedy usłyszała od matki:

- Wydałam majątek i wszystko na nic! Czy jego rodzina pomoże mi teraz spłacić te wszystkie długi?! - I potem, w nagłym wybuchu: - Jak można być takim nieodpowiedzialnym!? Narty na dzień przed ślubem! Jak mogłaś dopuścić do tego, że pojechał tam sam?! Gdybyś z nim pojechała, na pewno by się to nie stało! - Na wspomnienie tego ostrego, zimnego głosu Leonie zamknęła oczy. Wróciło dręczące ją od tamtej chwili pytanie: czy jeśli nalegałaby na to, aby pojechali razem, to Malcolm by żył?

Poczuła, że ludzie jej się przyglądają, gdy tak stoi pośrodku ulicy z zamkniętymi oczami. Zmusiła się, by iść naprzód patrząc prosto przed siebie.

W sekundę potem zobaczyła mężczyznę, siedzącego przy stoliku kawiarnianym, po drugiej stronie ulicy. Ich spojrzenia spotkały się i Leonie zamarła. Pomimo prażącego, śródziemnomorskiego słońca, zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. To niemożliwe. Czysta halucynacja, złośliwa wyobraźnia. Giles Kent? Tutaj?!

Tymczasem Giles podniósł się i skierował w jej stronę. Wyglądał zwyczajniej niż kiedykolwiek przedtem. Miał na sobie kremowe spodnie i biały podkoszulek, wystający spod rozpiętej, karmelowej koszuli. Styl elegancko-relaksowy. Na pewno specjalnie zaprojektowany strój wakacyjny - pomyślała złośliwie Leonie - można się było tego po nim spodziewać: ubrany perfekcyjnie na każdą okazję.

- Co, u diabła, robisz w Ravennie? - zapytał ostro, jakby podejrzewał, że go szpieguje.

- Jestem na wakacjach - odparowała. - Raczej, co ty tu robisz?

- Podróż w interesach - odparł zwięźle.

Leonie drgnęła i pobladła. To Malcolm zawsze jeździł w podróże handlowe. Umiał rozmawiać z ludźmi i przekonywać do kupowania produktów firmy. Nie było rzeczy, której nie potrafiłby sprzedać. Budził zaufanie, wszyscy za nim przepadali.

- Nowy menedżer zachorował i musiałem go zastąpić - dodał

Giles i Leonie nagle poczuła piekący ból w sercu.

Malcolm nie żył. Ktoś inny wykonywał jego pracę. Życie toczyło się, jak gdyby nigdy nic. To bolało. Nie była w stanie pohamować łez. Wypełniły jej oczy i zaczęły spływać po pobladłych policzkach.

Giles obserwował ją z zakłopotaniem. Prawdopodobnie czuł się skrępowany, widząc jej ból.

- Przepraszam - wyszeptała i zrobiła krok, jakby chciała uciec, ale Giles też postąpił krok naprzód i wpadła na niego, uderzając twarzą w potężną klatkę piersiową.

Zanim jeszcze zrozumiała, co się stało, silne ramię objęło ją i przytrzymało.

- Ciii... - szepnął, głaszcząc delikatnie jej włosy. Stała z płonąca twarzą. Pragnęła wyzalić się, wypłakać do reszty nieszczęście i rozpacz minionych tygodni. Nie mogła jednak pozwolić sobie na to teraz. Nie przy Gilesie Kencie. Boże, przy każdym, ale nie przy Gilesie Kencie! Zebrała wszystkie siły i wyprostowała się.

- Już wszystko w porządku, dzięki - wymamrotała, wdzięczna za pomoc i zaskoczona, gdyż pamiętała jego dotychczasową wrogość.

- Wygląda na to, że chyba nie wszystko - powiedział z brutalną szczerością Giles. - Usiądź na chwilę.

Poprowadził ją do stolika, przy którym siedział i podsunął krzesło.

Leonie usiadła w cieniu białożółtego parasola.

Giles był bardzo władczy, apodyktycznym mężczyzną.

Przyglądała się jego twarzy z pewnym zakłopotaniem i zdumieniem.

Nawet jego uprzejmość nosiła ślady tyranii.

- Kawy? - zapytał na widok zbliżającego się kelnera.

- Tak, dziękuję - skinęła.

Po odejściu kelnera zapadło kłopotliwe milczenie. Leonie wolałaby, aby Giles tak na nią nie patrzył. Było coś żenująco męskiego w tej jego zdecydowanej, nieustępliwej twarzy i szarych oczach, które na nowo budziły w niej świadomość, że jest kobietą. Wcale nie pragnęła tej świadomości. Szczególnie teraz, przy nim.

- Czyli, co cię tu sprowadza? - zapytał cicho. Leonie, zirytowana,

powtórzyła:

- Jestem na wakacjach.
- W Ravennie? - uniósł brwi ze zdziwienia. Ravenna przyciągała wielu turystów, ale na pewno nie był to kurort wypoczynkowy.
- Nie - sprostowała. - Mieszkamy w Rimini. Spędzamy typowe, nadmorskie wakacje. Wiesz, opalanie i pływanie. Ravennę zwiedzamy z wycieczką.
- My? - spytał ostro.
- Tak, jestem z Angelą. Moja koleżanka, która... - przerwała zagryzając usta.

Znów przypomniała sobie dzień, w którym przyszedł powiedzieć jej o śmierci Malcolma. Stała wtedy w swojej pięknej sukni ślubnej i słuchała, a jej dotychczasowe życie w jednej chwili zostało kompletnie zniszczone.

Giles przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

Zastanawiała się, czy też to pamiętał. Co sobie myślał, gdy zachowywała się, jakby postradała zmysły? Starła się wymazać z pamięci tamten dzień, lecz to spotkanie znów wywołało złe wspomnienia. Czy naprawdę zerwała wtedy z siebie suknię ślubną? Była prawie oszalała. Nie wiedziała, co robi i nie obchodziło ją, co sobie pomyśli Giles. Teraz jednak oblał ją ciemny rumieniec. W normalnej sytuacji nigdy by się tak nie zachowała. Zrzucić ubranie w obecności obcego mężczyzny. Mało tego, w obecności Gilesa Kenta!

- ...która uszyła twoją suknię ślubną - dokończył beznamiętnym głosem Giles i Leonie zrozumiała, że on wszystko pamięta. Przeraziła się na myśl, co Giles może teraz powiedzieć, więc przerwała mu, wyrzucając z siebie potok urywanych zdań bez związku:

- Tak... ta piękna suknia... co za straszny sposób traktowania. Szyta z takim uczuciem... Angela, tyle trudu... musiało jej być naprawdę przykro...

Głos jej się załamał. Przypomniała sobie, jak z zachwytem oglądała się w lustrze. Zaraz potem przyszedł Giles ze swą straszną wiadomością i gorączkowo zdarła z siebie suknię - porzucając ją na podłogę. Nie widziała jej już nigdy więcej. Angela prawdopodobnie

zabrała ją następnego dnia rano, lecz nic na ten temat nie powiedziała. Leonie nie była w stanie sama się zapytać. Chciała zapomnieć o wszystkim, co zdarzyło się tamtego dnia.

- Jestem pewien, że zrozumiała - powiedział cicho Giles.

Leonie kiwnęła głową.

- Jest moją najlepszą przyjaciółką. Znamy się jeszcze ze szkoły. Wakacje we Włoszech to jej pomysł. Pogoda w Anglii była ostatnio fatalna. Nic, tylko deszcz i deszcz... w nieskończoność. Angela czuła, że bez słońca dłużej nie wytrzyma. Ona uwielbia słońce « i plażę. Sądzę, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła leżeć na plaży całymi dniami..

Leonie nie wiedziała, po co mu to wszystko opowiada. Czuła się dziwnie zdenerwowana. Co też sobie myślał, gdy tak patrzył na nią tym swoim spokojnym, rozważnym spojrzeniem? Zawsze był jej śmiertelnym wrogiem. Choć tym razem nie wyglądał aż tak nieprzyjaźnie... Zresztą, właściwie, dlaczego miałby być nadal jej wrogiem?

Nie była już przecież zagrożeniem - ani dla niego, ani dla całej rodziny Kentów.

- A co u ciebie? - usłyszała chłodny głos. - Czy czujesz się szczęśliwa, gdy leżysz całymi dniami w słońcu?

- Tak, muszę przyznać, że był to bardzo odprężający tydzień.

- Masz taką jasną karnację... Ale widzę, że już zaczęłaś nabierać trochę opalenizny - zauważył, prześlizgując się spojrzeniem po jej twarzy, szyi i ramionach.

Ogarnęło ją nagłe gorąco.

W kącikach szarych oczu zadrgała kpina.

- Może i ja powinienem wziąć wolny dzień i też spędzić go na plaży? - powiedział powoli, patrząc na zmieszanie widoczne na jej twarzy.

Czyżby próbował z nią flirtować? Na myśl o tym Leonie poczuła dziwny skurcz w okolicy żołądka i nagle zabrakło jej tchu.

Na szczęście, w tym momencie pojawił się kelner z kawą.

Zdołała zmusić się do uśmiechu i wydusiła z siebie nieśmiało:

- *Grazie.*

Kelner wyszczerzył zęby, powiedział coś uprzejmego, czego oczywiście nie zrozumiała, i zniknął. Leonie znów poczuła na sobie ironiczny wzrok Gilesa. Starając się uniknąć tego spojrzenia ujęła małą filiżaneczkę i z ulgą zaczęła sączyć smolisty płyn.

- Znasz włoski? - zapytał Giles. Pokręciła przecząco głową.

- Tak tylko, kilka słów. A ty?

- Znam.

Można się było tego oczywiście spodziewać. Malcolm kiedyś powiedział, że Giles był dobry po prostu we wszystkim. Tak dobry, iż budziło to lęk.

- Święte słowa! - przerwała wtedy sekretarka Malcolma. - On przyprawia mnie o zawał serca za każdym razem, gdy wchodzi do biura!

- O, Joanne, to tylko dlatego, że masz nieczyste sumienie!

Wszyscy się roześmiali, ale Leonie potraktowała słowa dziewczyny poważnie. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak paralizujące mogło być nagłe pojawienie się Gilesa Kenta w biurze firmy.

- Czy do Ravenny też przyjechałeś w interesach? - zapytała uprzejmie, by podtrzymać rozmowę.

- Nie, przyjechałem tu tylko na dzień, dwa. Oczywiście nie z wycieczką.

- Oczywiście - powiedziała z ledwo wyczuwalną kpina.

Jakoś nie bardzo można było sobie wyobrazić Gilesa chodzącego z harcerskim zapałem na całodzienne wycieczki grupowe.

- Sam zwiedzam - wyjaśnił chłodno. - Przyleciałem samolotem, ale potem wynająłem samochód, żeby dać sobie radę bez konieczności korzystania z transportu publicznego. Zawsze chciałem zobaczyć Ravennę, a skoro mieszkam kilka godzin stąd, postanowiłem wstawić tę wizytę do mego planu zajęć. Muszę przyznać, że warto było.

- O tak, mozaiki bizantyjskie. Są przepiękne, prawda? - Leonie z wdzięcznością przyjęła neutralny temat rozmowy.

- Owszem - zgodził się i otworzył połyskujący przewodnik. Rozłożył go na stole i wskazał fotografię mozaikowego portretu cesarza Justyniana.

- Wiele razy widziałem fotografie tutejszych mozaik, lecz oglądanie ich w rzeczywistości nadaje im zupełnie nowy wymiar.

Leonie pochyliła się nad stołem. Jej srebrzyste włosy posypały się do przodu, niemalże dotykając dłoni Grilesa.

- Czy kupiłeś to tutaj? W tym, który ja mam, nie ma takich ładnych zdjęć.

Odgarnął jej włosy, aby dojrzeć fotografię i dziewczyna natychmiast nerwowo podniosła głowę, przerażona intensywnością, z jaką odczuła ten dotyk.

Jego twarz znajdowała się teraz zaledwie kilka centymetrów od twarzy Leonie. Tak blisko, że dziewczyna dokładnie widziała drobne żyłki na opalonej skroni, gęste, czarne rzęsy, mocno zarysowane kości policzkowe, grymas surowych warg. Była to twarz bardzo imponująca już z daleka. Z bliska robiła jeszcze większe wrażenie. Malcolm był czarujący i beztrudnie przystojny. Giles Kent miał w sobie siłę i niezachwiany charakter, które można było wyczytać z każdej linii jego rysów.

- Tak, kupiłem to tutaj - powiedział szorstko i przysunął się jeszcze bliżej.

Poczuła się jak zahipnotyzowana. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Mijały sekundy, a oni siedzieli niczym w transie - w gorących promieniach słońca, otoczeni gwarem ruchliwego miasta i zupełnie nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje. Patrzyli sobie w oczy.

Leonie nie wiedziała, o czym myślał Giles. Ba, nie potrafiła zrozumieć swoich własnych myśli. Była ogłuszona gwałtownym, oszalałym biciem pulsu. Biciem tak mocnym, że niemalże ją to dławilo. Co się z nią, u licha, dzieje? To na pewno słońce - pomyślała, czując suchość w gardle.

- Aha, tu jesteś! - krzyknęła radośnie Angela, przerywając nagle ich trans.

Zobaczyła Leonie siedzącą przy stoliku i natychmiast podbiegła, przyjaźnie szczebiocąc:

- Szukałam cię po całej Ravennie! Gdzieżeś się podziewała?! Ostatni raz, jak cię widziałam, byłaś z tym chłopakiem w katedrze. Zauważyłam, że się do ciebie zalecał, więc pomyślałam, że okażę takt i nie będę wam przeszkadzała. I potem widzę, jak on sam chodzi po katedrze, a ty gdzieś zniknęłaś. Przeraziłam się... Myślałam, że się zgubiłaś!

- Nie, ja... - zaczęła Leonie, lecz Angela przerwała jej wesoło:

- Po prostu błądziłaś w marzeniach. Jak zwykle. Powinnam była wiedzieć. No cóż, zbieraj się. Zamierzam jeszcze zrobić trochę zakupów, zanim będziemy musiały iść do autokaru.

- Dobrze - powiedziała Leonie, w pośpiechu dopijając kawę i dopiero wtedy Angela z podejrzliwą ciekawością spojrzała na mężczyznę siedzącego naprzeciwko jej przyjaciółki. Rozpoznała go natychmiast i wytrzeszczyła oczy w osłupiałym zaskoczeniu.

- Moje uszanowanie - powiedział Giles z chłodnym rozbawieniem.

- Pan... pan jest... to pan, prawda? - jąkała się Angela, zawsze tak wymowna.

- Tak. Ma pani świetną pamięć - przytaknął Giles i uśmiechnął się z wyższością. - Jestem Giles Kent. A pani jest zapewne przyjaciółką Leonie, Angela?

- Tak, to ja - Angela wbiła oszołomione spojrzenie w Leonie. Co tu się dzieje? Co on tu robi? A poza tym, dlaczego Leonie nie powiedziała, że on się tu w ogóle pojawi?!

Giles wstał i w geście uprzejmości podsunął jej krzesło.

- Proszę usiąść. Zawołam kelnera.

- Nie, nie, musimy już iść - poderwała się pośpiesznie Leonie. - Dzięki za kawę i baw się tu dobrze.

- Ty też.

- Dzięki - powtórzyła, starając się uniknąć jego wzroku, gdyż nagle poczuła się strasznie onieśmielona.

Złapała Angelę pod rękę i nie oglądając się za siebie, odeszły

pośpiesznym krokiem.

- No więc, co tu się u licha dzieje - niecierpliwie dopytywała się Angela, gdy już odeszły dostatecznie daleko. - Co on tu robi? Skąd wiedział, że jesteś w Ravennie?

- Nie wiedział. To był czysty przypadek, że się spotkaliśmy - odpowiedziała Leonie i zatrzymała się przy wystawie sklepowej, by popatrzeć na jedwabne bluzki.

- Tak, na pewno, cóż za fascynujący zbieg okoliczności.

- Ależ to prawda. Jest tu w interesach i po prostu akurat tak się złożyło, że przyjechał również do Ravenny, bo zawsze chciał zobaczyć tutejsze bizantyjskie cuda. Zresztą sama pamiętam, jak Malcolm mówił, że Giles pasjonuje się historią i gdy jest za granicą, zawsze zwiedza zabytki.

Leonie zdecydowała, że jedwabne bluzki są dla niej za drogie, więc znów rozpoczęła pośpieszny marsz ulicą.

- Wciąż uważam za dziwne, że zjawił się tu dokładnie wtedy, kiedy i my. Może cię pilnuje?

- A możesz mi powiedzieć, po co miałby to robić?

- No cóż, w końcu prawie byłaś jego bratową. Może czuje się za ciebie odpowiedzialny?

- Nie ma mowy. On mnie nie cierpi i wierz mi, jest bardzo zadowolony z tego, że nie jestem jego bratową.

- Wielka szkoda, że nie jesteś - Angela zrobiła śmieszoną minę. - Mogłabyś zaaranżować nam randkę.

- Żartujesz!

- Wcale nie. Uważam, że jest bosko przystojny, seksowny, męski...

Leonie poczuła nagle straszny szum w uszach. Tak, jakby rozpalone słońce w jednej chwili przemieniło się w potężny, bijący dzwon. Dudniło coraz głośniej. Ogarnął ją dziwny chłód i zachwiała się, czując zimny pot na skroniach. Z bardzo daleka usłyszała wołanie przyjaciółki:

- Leonie, czy jest ci słabo?!

- Nie... - wyszeptała, z trudem usiłując przezwyciężyć

narastający w jej głowie szum.

Leżała na ziemi, a wokół stał gapiący się dum. Po chwili zdołała z niego wyłowić jedną, znajomą twarz.

- Zastabłaś, jak się teraz czujesz? - pytała z niepokojem Angela. - Jesteś strasznie blada. Zaraz zdobędziemy jakąś pomoc, tylko muszę porozumieć się z tymi ludźmi. - Bezradnie rozejrzała się po ciekawskich twarzach. - Lekarz! Potrzebny jest nam lekarz! Jak to po włosku? Boże, dlaczego ja nie znam włoskiego....

W tym momencie ktoś zaczął przepychać się przez tłum. Tłum natychmiast - niemalże instynktownie - zaczął się rozstępować, wręcz rozplływać przed arogancko pewnym siebie i natarczywym głosem mężczyzny, mówiącym coś w ich języku.

Leonie w oszołomieniu spojrzała do góry i przerażenie zaparło jej dech w piersi. Giles! Co on tu robi?! Przecież myślała, że pewnie już opuścił Rვენnę. Chciała się natychmiast podnieść, lecz on znalazł się przy niej, zanim w ogóle zdołała wykonać jakikolwiek ruch.

Jednym ramieniem objął ją w talii, drugie niespodzianie wsunął pod kolana dziewczyny i unióś ją do góry, niczym małe dziecko.

- Och! - wybuchnęła, pokrywając się silnym rumieńcem. - Puść mnie, czuję się zupełnie dobrze.

- I to właśnie dlatego zastabłaś? Mój samochód stoi kilka kroków stąd. Pojedziemy do najbliższego lekarza i dowiemy się, co ci się stało. - Zafascynowany tłum patrzył, jak Leonie usiłuje się wyrwać, a jej złote włosy rozsypują się na rękawie jego kurtki, niczym lśniące promienie słońca.

- Świetny pomysł - powiedziała radośnie Angela, która błyskawicznie przysunęła się do nich i wyszczerzyła zęby do Gilesa w zalotnym uśmiechu.

- Sądzę, że tam, w tym sklepie chemicznym, na pewno wiedzą, gdzie tu znaleźć jakiś gabinet lekarski.

Giles łaskawie przytaknął.

- Czy mogłabyś pójść i zapytać? Ja zaniósę Leonie do samochodu.

- Mogę, ale nie znam ani słowa po włosku. Jak to będzie?

Giles podał jej krótki zwrot.

- I poproś, aby ci zapisali adres na kartce - zakomenderował.
- Tak jest! - zaszalutowała Angela, robiąc przy tym śmiertelnie poważną minę, na co on zareagował mdłym półuśmiechem i odszedł. Angela pomknęła do sklepu.

Tłum obserwował ich z rosnącą fascynacją. Było to lepsze niż cyrk. Jedyne problemy polegały na tym, że nie bardzo można było zrozumieć, co dokładnie działo się pomiędzy tym trojgiem cudzoziemców. Gdyby tak mogli zacząć rozmawiać po ludzku, aby każdy mógł wiedzieć, o co chodzi...

- Naprawdę nie musimy zwracać głowy lekarzowi
- odezwała się zniecierpliwiona Leonie, ale Giles nawet nie zwrócił na to uwagi.

Stawiał długie kroki i w sekundę znaleźli się przy samochodzie.

Zerknęła na niego spod opuszczonych powiek. Kamienne rysy twarzy, mocno zaciśnięte szczęki i zaskakujące, namiętne ciepło zaciętych ust - utajona, ognista siła...

Serce znów zaczęło bić jej niemożliwie szybko. Jego bliskość odbierała jej oddech. Śmiertelnie przerażało ją to rytmiczne bicie pulsów na mocnej, opalanej szyi... Reakcje jej własnego ciała przerażały ją zresztą jeszcze bardziej. Jak można ulegać tak gwałtownym i niepohamowanym reakcjom na dotyk męczyzny, którego się przecież nienawidzi?

Giles musi natychmiast postawić ją na ziemi.

Ta bliskość jest nie do wytrzymania.

- Giles, błagam - wyszeptała, widząc jego gniewne spojrzenie. - Puść mnie, nie jestem chora. To było z gorąca. Zmęczyła mnie jazda autokarem, a potem to chodzenie po mieście. Teraz już nic mi nie jest.

- Powinien cię zbadać lekarz - upierał się, najwyraźniej wcale nie mając zamiaru wypuścić jej z ramion.

Nie bladeść, a krwawy rumieniec pokrywał teraz twarz dziewczyny. Nie była po prostu w stanie walczyć z własnymi zmysłami, które tak niepokojąco reagowały na jego dotyk.

- Ale ja nie chcę - wymamrotała. - I przestań mnie tyranizować! Zawsze próbujesz mną rządzić. Nie cierpię tego!

Nareszcie usłuchał. Podeszedł do samochodu i posadził ją na przednim siedzeniu.

- Wobec tego, skoro nie chcesz iść teraz do lekarza, odwiozę cię do hotelu w Rimini.

- Naprawdę nie ma potrzeby, abyś się fatygował. Mogę przecież wrócić autokarem.

Na te słowa Giles pochylił się nad Leonie, ujął dłońmi jej twarz, odsunął do tyłu i zaczął przyglądać się jej ze zmarszczonymi brwiami.

- Dlaczego jesteś taka uparta?

- Raczej, dlaczego ty taki jesteś? - zapytała, głęboko świadoma tego, że on patrzy na jej usta.

Miała ochotę krzyczeć, by przestał, bo nie wolno mu patrzeć na nią w ten sposób, bo nie wie nawet, co z nią wyczynia!... Ale to byłoby oczywiście zupełną głupotą. Na pewno wszystko to sobie po prostu wmówiła. Tak, ta szalona reakcja jej ciała na jego dotyk, to tylko czysta fantazja. Tak silna, że doznawana wręcz fizycznie. Przecież nawet jej nie lubił. Nigdy.

- Jestem po prostu rozsądny, czego nie można powiedzieć o tobie - usłyszała szorstki głos. - Odwiozę cię, aby mieć pewność, że znów nie zasłabniesz. A gdy znajdziemy się w hotelu, będę nalegał, abyś poszła do lekarza.

Leonie nie zawracała sobie już głowy dalszą kłótnią, gdyż zobaczyła biegnącą w ich stronę Angełę.

- Dali mi listę tutejszych lekarzy - sapła przyjaciółka, wyciągając kartkę z wydrukowaną listą telefonów i adresów. - Z tego, co widzę, to najbliższy jest...

- Leonie woli wrócić do Rimini i tam iść do lekarza - przerwał Giles. - Zawiozę ją samochodem, żeby oszczędzić czasu i nie czekać na autokar.

- Świetnie! To ja wskakuję do tyłu, dobrze? Kątem oka Leonie zobaczyła, że Giles lekko się skrzywił.

Angela nie czekała jednak na odpowiedź i w sekundę znalazła się na tylnym siedzeniu. Po chwili Giles wsiadł także i ruszyli.

Leonie zamknęła oczy i przechyliła do tyłu głowę. Miała nadzieję, że Giles nie odezwie się, dopóki nie dojadą na miejsce. Angela paplała opowiadając o ich wakacjach, pytając go o pracę i zdrowie matki. Odpowiadał spokojnie i uprzejmie, ale Leonie czuła, iż myślami był zupełnie gdzie indziej.

Po kryjomu zaczęła obserwować jego dłonie na kierownicy. Długie, zręczne palce obejmowały obręcz z imponującą pewnością. Giles Kent był bardzo pewnym siebie mężczyzną. Chciałaby mieć jego śmiałość i zdecydowanie... Jej wzrok przesunął się dalej. Teraz patrzyła na jego ramiona, tors, całą sylwetkę. Był silnie zbudowany, ale miał w sobie męską grację. Mężczyzna o potężnej piersi, szczupłej talii i mocnych, długich nogach... Angela nieustannie mówiła o tym, jaki jest męski, więc może dlatego i Leonie najwyraźniej nie była w stanie myśleć o niczym innym.

Nagle zdała sobie sprawę, że podczas gdy tak szacowała jego sylwetkę, on cały czas przyglądał się jej z cichym rozbawieniem.

Oblała się purpurą.

- No i jak?... - mruknął, zniżając głos tak, że tylko ona mogła go usłyszeć.

Oczywiście udała, że nie słyszy. Bez słowa odwróciła głowę - niby zafascynowana okolicą, przez którą jechali. Była wściekła, bo Giles się roześmiał. Co on sobie właściwie wyobraża? Teraz już nie spojrzała na niego ani razu i nie odezwała się nawet słowem, a przyjazd do hotelu przyjęła z nieukrywaną ulgą.

Giles obszedł samochód, by pomóc jej wysiąść, ale pośpiesznie mu podziękowała. Stanowczo też odmówiła, nie zważając na jego argumenty, natychmiastowego pójścia do lekarza.

- Mówiłam ci, że zasłabłam z gorąca - tłumaczyła po raz kolejny.
- Nie chcę iść do jakiegoś tutejszego znachora. Zapewne nie zrozumie ani słowa z tego, co mówię i na odwrót. Po prostu nie namawiaj już mnie, dobrze?

- Dobrze, ale przynajmniej obiecaj, że jak tylko poczujesz się

słabo, pójdiesz do lekarza natychmiast - powiedział, tracąc najwyraźniej cierpliwość.

Leonie oczywiście obiecała, ale w duchu od razu tę przysięgę unieważniła.

- No cóż, komu w drogę, temu czas - zaczął Giles, ale Angela natychmiast mu przerwała:

- Ależ nie, zostań na obiedzie - zapraszała z zapałem. Giles spojrzął szybko na zaciętą twarz Leonie i powiedział chłodno, że nie może dłużej zostać, bo jutro musi wstąpić.

- Naprawdę, bardzo ci dziękuję za pomoc - powiedziała z rezerwą w głosie Leonie, kątem oka widząc, jak Angela daje jej rozpaczliwe znaki, by namówiła jednak Gilesa na ten obiad.

Po chwili Giles skinął głową i odszedł z kwaśnym uśmiechem, a Angela wybuchnęła ze złością:

- Jak mogłaś potraktować go tak bezceremonialnie?! Jestem pewna, że zostałaby, gdybyś tylko go o to poprosiła!

- Nie chciałam, żeby zostawał. Zamierzam iść wcześniej do łóżka.

- Ty może tak - ton Angeli był bardzo oskarżycielski - ale ja nie! Może już nigdy nie będę miała okazji, by go uwieść!

- Przykro mi - powiedziała niezbyt szczerze Leonie. - Pa, idę spać.

Do lekarza poszła dopiero po powrocie do Londynu i wtedy podejrzenie, które narastało w niej już od jakiegoś czasu, zostało ostatecznie potwierdzone.

Była w ciąży.

ROZDZIAŁ TRZECI

- O Boże, Leonie! I co teraz zrobisz?!
- Urodzę.
- Ale czy pomyślałaś... - Angela była zakatarzona i wyglądała wyjątkowo żałośnie. - Wychowywać samotnie dziecko?! Będzie ci strasznie ciężko!
 - Wiem, poradzę sobie. Warto. Przecież to dziecko Malcolma!
 - Jak myślisz, czy pozwolą ci pracować w biurze, dopóki nie urodzisz?
 - Mam nadzieję - powiedziała Leonie, ale w jej głosie zadźwięczały niepewne nuty. Szef firmy adwokackiej, w której pracowała, był starszym i bardzo staroświeckim mężczyzną. Należało przypuszczać, iż będzie niemile zaskoczony, odkrywszy, że jego niezamężna sekretarka spodziewa się dziecka.
 - Na pewno nie mogą cię za to wyrzucić - powiedziała buntowniczo Angela. - To już nie te czasy!
- Leonie nie sprawiała jednak wrażenia zupełnie przekonanej. Już setki razy wyobrażała sobie, co będzie, gdy jej szef się dowie, ale naprawdę trudno było przewidzieć jego reakcję.
 - Na razie nie zamierzam nikomu mówić - przyznała. - Pan Rawlings jest ślepy jak nietoperz, a reszta też może na początku nie zauważyć. Mam jeszcze trochę czasu, żeby rozejrzeć się za jakąś inną pracą. No i za mieszkaniem - dodała po chwili z westchnieniem.
 - Nie możesz zostać tutaj?! - krzyknęła zdziwiona Angela. - Przecież tu jest mnóstwo miejsca. Nie wypowiedzą ci chyba tylko dlatego, że urodziłaś dziecko? To byłoby nieludzkie!
 - W mojej umowie lokatorskiej jest wyraźnie napisane, że nie mogę mieć żadnych dzieci i zwierząt. Te mieszkania są przeznaczone dla osób samotnych.
 - Tak, ale czy to jest oficjalnie obowiązujące? - Angela przygryzła wargę. - To znaczy, czy mogłabyś z nimi walczyć?
 - Przegram, uwierz mi. Od lat pracuję u adwokata, więc

zdążyłam już nieco poznać zasady, którymi rządzi się prawo.

Podpisałam umowę wiedząc, co ona oznacza.

- No to co zrobisz? - rozpaczała Angela. - Gdybym mogła jakoś ci pomóc, ale wiesz, w moim mieszkaniu po prostu nie ma miejsca dla nikogo więcej, oprócz mnie.

- Co ty mówisz, wiem przecież, że nie ma. - Malutka kawalerka Angeli była nie tylko mieszkaniem koleżanki, ale również i jej sławną krawiecką pracownią.

- Dziękuję, że w ogóle o tym pomyślałaś - Leonie z wdzięcznością uśmiechnęła się do Angeli. - I nie martw się, zawsze coś tam znajdę. Jestem dobrą sekretarką i myślę, że jeśli Rawlings będzie chciał mnie zwolnić, to chociaż da mi dobre referencje. Zresztą, pewnie będę musiała odejść, nawet jeśli Rawlings mi nie wypowie. Londyńskie czynsze są strasznie wysokie. Jak dziecko przyjdzie na świat, będę musiała zatrudnić kogoś, kto będzie się nim zajmował, gdy ja będę w pracy. Sama wiesz, ile to kosztuje. Będę więc musiała oszczędzać na mieszkaniu, a to z kolei oznacza wyprowadzkę z Londynu.

- Wyprowadzić się z Londynu?! - w głosie Angeli brzmiało dogłębne przerażenie. Urodzona i wychowana w Londynie nie była w stanie nawet wyobrazić sobie życia gdzie indziej. Wyglądała teraz jak ktoś, kto właśnie dowiedział się, że jego przyjaciel został skazany na dożywotnią banicję.

- Przecież nikogo nie będziesz znała! Wszystkich bliskich masz w Londynie! Wyprowadzić się w momencie, gdy się najbardziej potrzebuje wsparcia?! Nawet o tym nie myśl! Chyba że... Czy zamierzasz może mieszkać z twoją matką?

Leonie potrząsnęła głową i spojrzała ze smutkiem na przyjaciółkę.

- Wierz mi, moja matka nie jest osobą rodzinną. Nie chciała mnie, gdy byłam dzieckiem i nie przypuszczam, by zechciała mnie teraz, gdy sama będę miała dziecko.

- A czy ona wie?

Na twarz Leonie wypełzły różowe plamy. Jej jasne oczy przybrały kolor zachmurzonego nieba.

- Jeszcze nie - powiedziała ponurym głosem. - Czekam na właściwy moment. Gdybym zakomunikowała jej to teraz, zaczęłaby namawiać mnie do usunięcia ciąży... póki jest jeszcze czas. Nie chcę nawet tego słuchać. Nie powiem jej, dopóki nie będę musiała.

- Zapewne mądrze - przytaknęła bez przekonania Angela, po czym dodała z pewnym wahaniem: - A co z rodziną Malcolma? Czy nie mogliby pomóc? Przecież to jego dziecko i gdyby żył, byłby za nie odpowiedzialny. Są bogaci, na pewno mogą sobie pozwolić, aby ...

- Nie! - teraz twarz Leonie pokryła się purpurą.

- Ale dlaczego nie? - Angela obserwowała ją ze zdumieniem. - Bądź co bądź, będzie to wnuk pani Kent!

- Nie chcę nawet, żeby o tym wiedzieli!

- Żartujesz! Nie zamierzasz im powiedzieć, że urodzisz dziecko Malcolma?!

- Nie - odparła krótko Leonie i zdecydowanym ruchem odrzuciła do tyłu włosy. I wtedy Angela po raz pierwszy zauważyła, jak bardzo Leonie podobna jest do swojej matki. Że też nigdy wcześniej nie spostrzegła tej siły i uporu, które teraz tak wyraźnie odbijały się w subtelnych rysach przyjaciółki...

- Ale dlaczego nie? - powtórzyła niepewnie. Szafirowe oczy Leonie zabłyśły wrogością.

- Nie życzyli sobie, abym należała do ich rodziny. Nie raczyli nawet odpowiedzieć na zaproszenia ślubne i prawdopodobnie w ogóle by nie przyszli! Niby Giles Kent był całkiem uprzejmy, odkąd... - głos jej zadrżał i z całej siły przygryzła dolną wargę. Po chwili wzięła głęboki oddech i kontynuowała dalej: - ...odkąd Malcolm zginął. Tamtego dnia, kiedy przyszedł mi o tym powiedzieć, był najpierw trochę brutalny, ale gdy zobaczył moją rozpacz, zrobił się całkiem uprzejmy. A potem, we Włoszech, gdy spotkaliśmy się na ulicy, był prawie miły.

- Jest naprawdę nieprzyzwoicie przystojny - przypomniała sobie z westchnieniem Angela. - Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby taki Giles Kent zapragnął nagle się ze mną umówić.

Leonie spojrzała na przyjaciółkę z dezaprobatą.

- Oszalałaś, słowo daję.

- To nie ja oszalałam, a ty! I w dodatku straciłaś wzrok. A on ma jeszcze taką władzę i pieniądze... Przecież to powinno działać lepiej niż cokolwiek innego!

- Jak chcesz, możesz się nim zająć - Leonie najwyraźniej nie podzielała uniesień koleżanki. - Ja przynajmniej, nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Z żadnym z Kentów.

- Ale oni mają kupę forsy!

- Właśnie dlatego nie zamierzam im powiedzieć. Mogą usiłować odebrać mi dziecko.

- Tego nie mogliby zrobić!

- Przypuszczam, że mogliby. Ostatecznie, oczywistym jest, że mogliby zapewnić dziecku luksusowe warunki. Ja tymczasem nieźle się będę musiała nagimnastykować, by jakoś w ogóle dać sobie radę.

- No właśnie! I dlatego będziesz potrzebowała ich pieniędzy! Jestem pewna, że nie próbowaliby odebrać ci dziecka. Mogą natomiast bardzo ci pomóc.

- Nie chcę ich pieniędzy.

- Ale posłuchaj, Leonie...

- Proszę cię, zmieńmy temat - przerwała Leonie z zaciętym wyrazem twarzy. - Już postanowiłam. Nie zamierzam niczego powiedzieć Kentom i musisz mi obiecać, że też nikomu nie powiesz. Angela obiecała, choć wcale nie miała na to ochoty.

- A więc, jeśli nie chcesz mieszkać ze swoją matką, to gdzie? - zapytała z westchnieniem.

Kolejna godzina upłynęła im na usilnym poszukiwaniu jakiejś miejscowości pod Londynem, gdzie byłyby szanse na pracę dla Leonie, zaangażowanie kogoś do opieki nad dzieckiem i w miarę tanie mieszkanie.

Była to jednak godzina przygnębiająca i bezowocna.

Miesiąc później Leonie zaczęła zauważać zaskoczone i badawcze spojrzenia znajomych w pracy. Czerwieniła się lekko i czekała na komentarze, ale może nikt nie chciał nic powiedzieć, dopóki sama nie da do zrozumienia, że będzie mieć dziecko - a może nie byli

pewni, czy czasem im się tylko nie wydaje. Potem szeptali coś w grupkach, ale gdy się pojawiała, odchodzili pośpiesznie, nie patrząc jej w oczy.

Po kilku dniach jej szef burkliwym tonem poprosił ją do swego gabinetu. Gdy weszła, najpierw pokasłując nerwowo kilkanaście razy przełożył jakieś papiery na biurku, aż w końcu zaczął:

- Panno Priestley, przykro mi, że muszę panią o to zapytać, jest to bardzo żenujące dla nas obojga, ale, hm... po biurze krążą plotki... powiedziano mi, dowiedziałem się... że pracownicy przypuszczają... że...

Leonie zrobiło się go żal. Widać było, iż dokończenie pytania jest ponad jego siły. Postanowiła być wspaniałomyślna.

- Tak, panie Rawlings - powiedziała cicho. - Spodziewam się dziecka.

- Och, mój Boże - westchnął głęboko - to... tak mi przykro...

- Mnie nie, proszę pana - przerwała natychmiast silnym głosem Leonie. - Byłam bardzo szczęśliwa, gdy się o tym dowiedziałam. Mieć dziecko Malcolma to tak, jakby częśćka jego samego wciąż była przy mnie, jakby nie odszedł tak zupełnie.

Pan Rawlings machinalnie rysował coś na papierze.

- Tak, naturalnie, rozumiem panią i nie jesteśmy aż tak zacofani, abyśmy byli zgorszeni... ale jak zamierzasz, zamierza pani, dać sobie radę z pracą po urodzeniu dziecka?

- Jeśli tylko będę mogła znaleźć kogoś, kto mógłby opiekować się nim codziennie do wieczora... - zaczęła i tym razem to on spojrzał na nią ze współczuciem.

- W żadnym wypadku nie będzie pani w stanie pozwolić sobie na opiekę do dziecka przez cały dzień przy pani aktualnej pensji, panno Priestley. Moja córka ma małe dziecko i właściwie większa część jej zarobków idzie na zatrudnienie opiekunki. Gdyby nie była mężatką, nigdy by sobie nie poradziła. Sądzę, że nie patrzy pani na to wszystko realnie. Lecz jeśli jakoś zdoła pani to wszystko sobie ułożyć, proszę bardzo. Oczywiście, nadal może pani tu pracować. Przysługuje normalny urlop macierzyński. Zatrudnię sekretarkę na

czas tej nieobecności. Tylko bardzo proszę dać mi znać przed powrotem do biura, kiedy, i czy w ogóle, zamierza pani wracać. Jeśli nie uda się załatwić opieki do dziecka na cały dzień, zawsze może pani pracować tu na innych warunkach. Pół etatu, czy coś w tym rodzaju.

Była mu bardzo wdzięczna za to, że pozwalał jej zostać aż do porodu. Przynajmniej jej nie wyrzucił, a przecież obawiała się, że może to zrobić. Jego biuro miało do czynienia z bardzo zamożnymi, zwykle starszymi i staroświeckimi klientami. Może i był to koniec dwudziestego wieku, ale często miała wrażenie, iż niektórzy klienci nie bardzo zdają sobie z tego sprawę.

- Dziękuję panu, panie Rawlings. I obiecuję, że poinformuję pana o moich planach najszybciej, jak to będzie możliwe - przyrzekła na pożegnanie.

Podobne szczęście dopisało jej przy rozmowie z pełnomocnikiem właściciela domu, w którym mieszkała. Od razu zaznaczył, że nie będzie mogła tam mieszkać z dzieckiem, lecz okazał się na tyle wyrozumiały, że zgodził się, aby została aż do porodu. Dawało jej to nieco wytchnienia i czasu na znalezienie nowego lokum.

Polowanie na mieszkanie zaczęła natychmiast. Londyńskie czynsze są jednak naprawdę horrendalnie wysokie i w dodatku właściciele raczej nie życzą sobie niezamężnych matek za lokatorki. Chyba że jest się w stanie płacić wyjątkowo dużo. Co prawda miała jeszcze dwa i pół miesiąca do przyjścia dziecka na świat. Czas jednak płynął niewiarygodnie szybko.

Ostatnią osobą, która dowiedziała się o dziecku, była matka Leonie. Ktoś, z kim dziewczyna najchętniej podzieliłaby się tą wiadomością natychmiast, gdyby nie to, że przypuszczała, iż matka nie zareaguje na to najlepiej. Leonie nie widziała się z nią od czasu gniewnej reakcji matki na śmierć Malcolma. Była już w siódmym miesiącu ciąży, kiedy pewnego niedzielного popołudnia Martha Priestley bez uprzedzenia zawitała do jej mieszkania.

Na widok córki, która otworzyła drzwi, Marthę po prostu zatkało. Stała oniemiała, wytrzeszczając w osłupieniu swe skośne oczy.

- Lepiej wejdź do środka - powiedziała z rezygnacją Leonie, przytrzymując drzwi i przesuwając się, by przepuścić matkę.

Martha sztywno weszła do mieszkania.

Leonie zamknęła drzwi i weszła za nią do pokoju - cierpliwie czekała na wybuch spodziewanej burzy.

- Który to miesiąc? - zapytała z niesmakiem matka, obrzucając ją ostrym spojrzeniem. A kiedy Leonie odpowiedziała, natychmiast dodała pogardliwie:

- Ośmielam się przypuszczać, że to Malcolma? Policzki i szyja dziewczyny pokryły się krwawym rumieńcem.

- Tak - mruknęła niechętnie.

- A ja łudziłam się, że masz więcej rozumu - wycedziła Martha przez zaciśnięte zęby. - Jak mogłaś do tego dopuścić? Teraz już wiem, czemu się tak długo nie pokazywałaś! Dzięki Bogu, przynajmniej jego rodzina może sobie pozwolić na to, by ci pomóc.

Leonie spojrzała w bok i przygryzła usta. Oczy Marthy zwęziły się, jakby przeczuwała coś strasznego.

- Oczywiście, zamierzają ci pomóc? - zapytała ostro. Zaczęło się - pomyślała Leonie i wzięła głęboki oddech.

- Nie chcę ich w to mieszać...

- Nie bądź śmieszna - przerwała Martha. - Jak zareagowali, gdy im powiedziałaś? Czy ofiarowali...

- Nie powiedziałam im.

- Cooo? - purpurowe plamy pokryły teraz także i szyję matki. - Chcesz mi powiedzieć, że nie wiedzą?! Ty beznadziejna, głupia dziewczyno! Nie ma wątpliwości, że musisz ich o tym zawiadomić! Mają mnóstwo pieniędzy i część z nich prawnie należy się tobie! Już ja z nimi porozmawiam, jeśli idiotyczna duma nie pozwala ci się przemóc.

- Ani się waż! - krzyknęła Leonie, po raz pierwszy w życiu zdobywając się na opór wobec matki.

Martha Priestley spojrzała na nią w osłupieniu i jej z kolei, również po raz pierwszy w życiu, zabrakło słów. Po prostu oniemiała zaskoczona.

- Nie wtrącaj się. Nie chcę nic od rodziny Malcolma i wolę żyć z państwowego zasiłku, niż prosić ich choćby o złamanego pensa - zakończyła już nieco spokojniejszym tonem Leonie.

Oczywiście matka nie dała za wygraną. Martha szybko doszła do siebie i znów miała mnóstwo do powiedzenia. Trzęsąc się z oburzenia, zaczęła ciskać w córkę słowami, niczym pociskami z karabinu maszynowego:

- Nie możesz sobie pozwolić na tę głupią dumę! Zresztą ja też nie mogę! Dobrze wiesz, że chciałam ich prosić, aby pomogli mi spłacić te wszystkie rachunki za przyjęcie ślubne. Nie wszystko dało się odwołać. Było mnóstwo rzeczy, za które trzeba było zapłacić: zaproszenia, tort, twój welon, twoje białe szpilki... Tak, wiem, że to miał być prezent ślubny ode mnie, ale rachunki były kolosalne! I jeszcze moja własna sukienka... - złowiła zaskoczone spojrzenie Leonie i zaczerwieniła się ze złości, chociaż córka nie odezwała się ani słowem.

- No co? - broniła się gniewnie. - Musiałam chyba się w coś ubrać? Nie chciałam, aby Kentowie myśleli, że ich syn wiąże się z rodziną biedaków. Tę sukienkę szył mi znany projektant mody i nie mogłam jej zwrócić. Zamówiłam ją tylko ze względu na ciebie! Dobrze wiesz, że normalnie nie szastam pieniędzmi i nie cierpię tkwić w długach. Nie widzę powodu, aby Kentów, którzy śpią na pieniądzach, nie prosić o pomoc! Przecież byłoby to wesele w równym stopniu twoje, jak i młodego Kenta! Ja chciałam tylko, aby było wspaniałym i imponującym wydarzeniem. Wydarzeniem godnym wszystkich krewnych i przyjaciół rodziny Kent!

- Wiem - powiedziała ze smutkiem Leonie, modląc się w duchu, żeby matka zmieniła już temat.

Ostatnio jej własne niepokoje z powodu ciąży uśmierzyły już trochę ból wywołany śmiercią Malcolma. Nie chodziło o to, że zapomniała, czy mniej tęskniła. Przeciwnie, myśląc o dziecku prawie zawsze myślała też o nim, lecz miała na głowie tyle problemów i czas płynął teraz jak oszalały...

- Nie widzę, żebyś wiedziała! - krzyknęła Martha. - Nie

poprosiłam ich o pomoc, bo o mało co nie dostałaś szału, jak o tym wspomniałam. I wszystko spoczęło na moich barkach. Ale jeśli uważasz, że również pomogę ci utrzymać dziecko Malcolma Kenta, to grubo się mylisz.

Leonie była bliska łez.

- Nie prosiłam cię o żadną pomoc! - krzyknęła zdławionym głosem. - Przykro mi, że popadłaś w długi z mojego powodu i oddam ci wszystko, jak tylko będę miała trochę pieniędzy! A od ciebie nie chcę żadnej pomocy, ani w ogóle niczego! Sama sobie poradzę!

Martha przyglądała się córce, dysząc ciężko. Jej bladoniebieskie oczy zwięziły się w lodowate szparki.

Leonie wzdrygnęła się i przerwała, by nie powiedzieć czegoś, czego mogłaby potem żałować. Ale i tak było to bez znaczenia, gdyż matka po prostu ominęła ją bez słowa i wyszła, trzaskając za sobą drzwiami.

W sobotę, starając się nie myśleć o matce, Leonie zrobiła zakupy i posprzątała. Zwykłe, domowe zajęcia sprawiały jej teraz dużo trudności, więc robiła wszystko powoli i tak, by się nie zmęczyć.

Gdy skończyła całą pracę, zjadła lekką sałatkę i postanowiła uciąć sobie godzinną drzemkę. Nie zdążyła jednak nawet zamknąć oczu, gdy usłyszała dzwonek u drzwi. Westchnęła ciężko, podniosła się i poszła otworzyć. Spodziewała się Angeli, która często wpadała o tej porze na plotki i kawę. Ale, gdy otworzyła drzwi, z przerażeniem spostrzegła, że patrzy w zimnoszare oczy Gilesa Kenta.

Głos uwiązał jej w gardle.

Niespokojnie oczekiwała jego pierwszej reakcji na fakt, że była w ciąży, lecz po chwili zrozumiała, iż musiał już wiedzieć o jej stanie, zanim tu przyszedł. Na jego twarzy nie było bowiem ani śladu zdziwienia, czy zaskoczenia. Szybkim spojrzeniem obrzucił jej ciężką sylwetkę, po czym postąpił krok naprzód zmuszając, aby go przepuściła.

W głowie kłębiło się jej tysiące myśli. Wiedział już wcześniej. Moja matka! Tak, to musiała być moja matka - myślała w popłochu Leonie. Ona jest jedyną osobą zdolną do czegoś podobnego. Nie zważając na

prośby, Boże, jak mogła? Co mu powiedziała? O co prosiła?

Dziewczyna załamała rękę w nerwowym napięciu. Martha prosiła o pieniądze - pomyślała z rozpaczą - tak, tylko to się dla niej liczy. A przecież Leonie powiedziała jej, że nie chce od Kentów niczego. Powiedziała jej dokładnie, co czuje. Jak ona mogła...

- Nie wyglądasz najlepiej - usłyszała szorstki głos Gilesa i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Może nie zauważyłeś, ale jestem...

- Jesteś w ciąży. Widzę. Jestem wystarczająco spostrzegawczy. Ale z tego, co wiem, kobiety w ciąży wyglądają normalnie i zdrowo. Ty natomiast jesteś blada i mizerna. Czy w ogóle dbasz o siebie?

- Tak, dziękuję - powiedziała posłusznym tonem małej dziewczynki i w odpowiedzi zobaczyła nieznaczny półuśmiech, a raczej łaskawy grymas na jego wargach.

- Usiądź - poprosił swoim zwykłym, rozkazującym tonem i podsunął jej krzesło.

Leonie usłuchała z rezygnacją. Na razie postanowiła oszczędzać siły przed burzą, której należało się rychło spodziewać. Była zdecydowana nie pozwolić Kentom na ingerencję w jej życie. Domyślała się jednak, iż Giles nie zamierza poddać się bez walki.

Kiedy usiadła, on usadowił się wygodnie na krześle obok. Sączący się przez gałęzie drzew promień jesiennego słońca rozświetlił jego czarne włosy, ale twarz pozostała w cieniu. Patrzył na nią teraz zza tej maski mroku i Leonie zupełnie nie mogła odgadnąć, co też sobie myśli o jej sytuacji. Zresztą Giles zawsze umiał ukrywać swoje uczucia.

- Zadzwoiła do mnie twoja matka - powiedział bez cienia jakiegokolwiek emocji i Leonie poczuła, jak zalewa ją fala gorącego powietrza.

- Tak przypuszczałam, gdy tylko zobaczyłam cię w drzwiach! - wybuchnęła dławiąc się ze złości. - Zrobiła to wbrew mojej woli! Bez mojej wiedzy! Prosiłam ją, by się z wami nie kontaktowała!

- Wiem, wspomniała o tym - powiedział Giles z chłodną ironią. - Była to bardzo otwarta i szczerza konwersacja.

Leonie drgnęła i z zażenowaniem wbiła wzrok w podłogę.

- Jeśli prosiła cię o pieniądze, to proszę, nie przywiązuj do tego żadnej wagi...

- Nie prosiła mnie o pieniądze - przerwał. - Przynajmniej nie wprost. Naturalnie podkreśliła, jak ciężko ci będzie, gdy przyjdzie dziecko i że sama chętnie by pomogła, gdyby nie to, że też boryka się aktualnie z kłopotami finansowymi. Poinformowała mnie również o wielkości długu, który zmuszona była zaciągnąć z powodu wesela.

- Och, nie! - westchnęła Leonie i przygryzła usta, patrząc na niego z bezradnym zakłopotaniem. - Tak mi przykro...

- A niby to dlaczego? - spytał chłodno. - Czuję się winny, że musiała zaciągnąć długi. Już dawno powinienem się tym zainteresować, ale sądziłem, że Malcolm dopilnował, aby koszty wesela nie obciążały twojej matki. Jest wdową o skromnych dochodach i na pewno nie jest jej łatwo. Zajmę się tym natychmiast.

Żałuję, iż nie pomyślałem o tym wcześniej, ale... - przerwał na chwilę i z zaciętością przygryzł usta - po prostu miałem na głowie inne sprawy. Leonie wyczuła napięcie w jego głosie i przyjrzała

mu się uważniej. Wiedziała, o czym myślał. Śmierć Malcolma była tragedią nie tylko dla niej. Często zastanawiała się, co przeżywa jego matka i bolała nad tym, że ze względu na niechęć pani Kent do jej osoby nie jest w stanie ofiarować jej pocieszenia.

- Jak się ma twoja mama? - zapytała delikatnie i Giles westchnął.

W jego oczach zamigotała troska. - Od miesiący jest w głębokiej depresji.

- Tak mi przykro - szepnęła. Skinął głową.

- Sądząc po tym, jak wyglądasz, ty też jesteś w nie najlepszym stanie.

Nie odpowiedziała, więc kontynuował:

- Wciąż nie potrafi pogodzić się ze śmiercią Malcolma. Był jej ukochanym synem. Przypuszczam, że matki zawsze mają słabość do swoich najmłodszych, a Malcolm był przecież taki uroczy. Uderzyło to w nią bardzo mocno. Nie chce jednak zgodzić się na pomoc lekarza, ani nawet porozmawiać o swoich uczuciach z najbliższymi.

A przecież mogłoby to trochę pomóc. Nie powinna zamykać wszystkiego w sobie, to tylko pogarsza sprawę. Niepokoję się o nią coraz bardziej.

- Nietrudno zrozumieć, czemu twoja matka nie chce widzieć się z lekarzem, ani dzielić z nikim swojego bólu - pomyślała na głos Leonie. - Pani Kent jest bardzo dumną kobietą. Nie zniosłaby myśli o powierzaniu swych najgłębszych uczuć komukolwiek, a już szczególnie obcemu, lekarzowi. Poddać się terapii... Zapewne uważa, że byłoby to haniebne i obawia się kpin ze strony znajomych.

- Ty i moja matka macie ze sobą dużo więcej wspólnego, niż obie zdajecie sobie sprawę - powiedział Giles przypatrując jej się zza zmrużonych powiek.

Zaczerwieniła się. Nie zdążyła jednak przemyśleć głębiej tej zaskakującej uwagi, gdyż on mówił dalej:

- Robiłem wszystko, co tylko w mojej mocy, by jakoś do niej dotrzeć, pomóc jej. Na próżno. Gdy dziś rano zadzwoniła twoja matka i powiedziała, że jesteś w ciąży, od razu zrozumiałem, jakie to ma ogromne znaczenie. Właśnie to wyciągnie moją matkę z depresji. Boże, to dziecko jest chyba darem nieba! Ono przywróci jej chęć życia! To tak, jakby wrócił do nas Malcolm! - przerwał na chwilę, popatrzył na nią tryumfalnym wzrokiem i po chwili dodał uroczyście:

- Leonie, od dziś możesz przestać się dręczyć i zastanawiać, jak sobie sama poradzisz. O tak, od dziś wszystko możesz pozostawić nam!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Było to dokładnie to, czego Leonie obawiała się najbardziej.

- Nie! - krzyknęła, usiłując opanować rozpierający ją gniew. - Nie obchodzi mnie, co ci powiedziała moja matka! Nie mówiła w moim imieniu! Może i mam problemy, ale to moja sprawa! Sama będę sobie radziła! To jest moje dziecko i ja je zatrzymuję! Mogę się nim opiekować bez pomocy matki, mojej, twojej, czyjejkolwiek! Nie oddam go nikomu! Nigdy!

Oczy Gilesa zwięzły się jeszcze bardziej i przybrały nieugięty wyraz.

Porażona groźbą tego wzroku, Leonie zapragnęła natychmiast zniknąć z pola jego widzenia. Gdziekolwiek, byle dalej od niego.

Próbowała się poderwać - ciężkim, niezdarnym - ruchem ciężarnej kobiety.

- Uważaj! - krzyknął ostro Giles i po sekundzie był przy niej, otaczając ją ramieniem i przytrzymując. - Nie wolno ci robić takich gwałtownych ruchów. Musisz na siebie uważać, choćby przez wzgląd na dziecko.

- Nic mi nie jest, dziękuję - wymamrotała i zamilkła, stremowana jego nagłą bliskością.

Silne, męskie dłonie ogarnęły jej plecy i poczuła, jak każdy palec tych dłoni odciska się na jej drżącym ciele. Znów to paralizujące ciepło jego skóry, twardość ukrytych pod nią mięśni, obezwładniająca moc opiekuńczych ramion...

Minęło tak wiele czasu, od kiedy po raz ostatni znajdowała się w ramionach mężczyzny. Jakże nęcąca była bliskość drugiego człowieka. Dawała pocieszenie i komfort, za którymi tak tęskniła podczas długich, ciemnych nocy, gdy leżała sama ze zbolałym sercem. Dzielnie stawiała czoło osamotnieniu, lecz było to bardzo trudne. Pragnienie bliskości drugiej osoby leży przecież w naturze ludzkiej.

Nie wolno jednak ulec temu pragnieniu. Nie można pozwolić, by

tak ją trzymał i przesuwał tą parzącą dłonią po jej plecach. Mogłaby w tym zakosztować, mogłaby zacząć za tym tęsknić. Za nim. Tym bardziej, że nie zdarza się to pierwszy raz, kiedy tak się czuje akurat w jego obecności. Niepokoiło ją wspomnienie spotkania w Ravennie. To wtedy wyplakała się przecież na jego ramieniu i teraz też z ledwością powstrzymywała łzy.

Nie było to rozsądne. Może on i sprawia wrażenie szlachetnego i łagodnego, ale nie wolno jej zapomnieć zimnej wrogości, jaką jej okazywał przed śmiercią Malcolma. Stał się miłszy tylko dlatego, iż nie stanowiła już zagrożenia dla ich rodziny. Giles Kent był człowiekiem, którego życiem rządził rozsądek. Na zimno decydował, w jaki sposób postępować ze wszystkimi wokół siebie. Powody, które się przy tym liczyły, nie miały nic wspólnego z uczuciami. Jeśli kiedykolwiek doświadczał jakichś emocji, nigdy tego po sobie nie pokazywał i nigdy nie pozwoliłby, aby rządziły jego życiem. Głupotą było zapominać o tym. Szczególnie teraz.

- Według mnie nie wyglądasz, jak ktoś, komu nic nie jest - usłyszała oschły głos. Przysunął usta tak blisko jej włosów, że gdy mówił, poruszał je delikatnie ciepłem swojego oddechu. - Możesz nie chcieć naszej pomocy, Leonie, ale oczywistym jest, że jej potrzebujesz.

Ach tak, Leonie ma coś, czego on chce. W swoim łonie nosi dziecko jego brata. Dziecko, które według Gilesa miało uczynić jego matkę znów szczęśliwą. Tego chciał Giles Kent. Malcolm często mówił z mieszaniną szacunku i ledwie wyczuwalnej zawiści, że Giles był nieugięty w zdobywaniu tego, czego w danym momencie pragnął. Miał żelazną wolę i wytrwale dążył do obranego celu. To właśnie czyniło go tak dobrym w prowadzeniu rodzinnego biznesu - powtarzał zawsze Malcolm, krzywiąc się przy tym lekko, jakby żałował, iż nie jest ulepiony z tej samej gliny.

Nie, Giles nie był człowiekiem z gliny, ale z materii dużo bardziej wytrzymałej. I dlatego właśnie był tak niebezpiecznym przeciwnikiem. Trudny do przeniknięcia, nieczuły, bezwzględny w dążeniu do celu. Gotów na wszystko, by zawsze postawić na swoim.

Leonie wiedziała, że jeśli nie zgodzi się na jego warunki, on od razu przestanie się do niej uśmiechać. Zniknie jego dobroć i opiekuńczość. Znow pojawi się tylko zimna wrogość.

Lecz nie bała się teraz Gilesa. Tym razem miała zbyt dużo do stracenia.

Z zaciętym wyrazem twarzy odsunęła się do tyłu i spojrzała mu odważnie w oczy.

- Jestem w stanie zadbać o siebie i o dziecko! Zawsze radziłam sobie sama, to i teraz jakoś sobie poradzę. Moja matka też wychowała mnie samotnie.

- Odwróciła wzrok i zadrżała na wspomnienie własnego dzieciństwa: osierocenia i zagubienia. Ale przecież ona, Leonie, nie odeśle nigdzie swojego dziecka. Cokolwiek się stanie i jakkolwiek będzie jej ciężko, to nie popełni błędu, który popełniła jej matka. Da sobie radę. Zatrzyma dziecko.

- Naprawdę chcesz, żeby twoje dziecko dorastało w ten sam sposób, co ty? - usłyszała pytanie zatrute zjadliwą ironią.

Z przerażeniem wciągnęła powietrze spoglądając w jego oczy. Nigdy mu się nie zwierzała. Skąd wiedział o jej samotnym dzieciństwie? Od Malcolma? A może po kryjomu badał jej pochodzenie, gdy dowiedział się, że miała zostać żoną jego brata?

- Zrobię wszystko, żeby zapewnić memu dziecku szczęście - powtórzyła, patrząc na niego z nie ukrywanym wyzwaniem.

- Będziesz musiała iść do pracy, a to oznacza, że nie będziesz mogła poświęcić dziecku zbyt wiele czasu. Dobrze o tym wiesz.

- Wszystko przemyślałam - nie ustępowałam. - Wiele innych kobiet daje sobie radę, dlaczego ja nie miałabym? Najważniejsze, by moje dziecko wiedziało, że je kocham i chcę. Wszystko inne jakoś się ułoży.

Wziął głęboki oddech i już gotów był rzucić w nią jakąś drwiącą uwagą, ale nie dopuściła go do głosu.

- Posłuchaj. To dziecko, to tylko moja sprawa. Jestem pewna, że starasz mi się pomóc z czystej uprzejmości, lecz naprawdę wolałabym, abyś dał sobie z tym spokój - znow nie pozwoliła sobie

przerwać i kontynuowała pośpiesznie: - Przykro mi z powodu twojej matki. Odwiedziłabym ją już dawno. Rozmowa z nią i mnie by pomogła. Obie utraciliśmy Malcolma i tęsknimy za nim. Lecz wiedziałam, że nie chciałyby mnie widzieć. Zapewne moja osoba przypomniaby jej tylko, że przez ostatnie tygodnie żyli w niezgodzie, ona i Malcolm, i to z mojego powodu. Musi być jej ciężko, gdy o tym wspomina. Ale ja jestem pewna, że Malcolm jej wybaczył. Poza tym, jeśli zechce zobaczyć dziecko, to jak się ono urodzi, będzie bardzo mile widziana w moim domu. Może przychodzić, kiedy tylko ma ochotę, albo ja przyniosę dziecko do niej. Ale musi być jasne, że moje dziecko zostaje ze mną!

- Ależ oczywiście, że zostanie z tobą! - Giles nagle zmienił taktykę i zamiast władczygo tonu próbował teraz uspokajającego głosu i uśmiechu, który miał w sobie nawet coś z Malcolmowego czararu. - Nie przypuszczałaś chyba, że chciałem ci je odebrać? Nie śmiałbym - zapewniał udając całkowite zaskoczenie. Oczywiście, Leonie nie czuła się przekonana. Jak mogła mu ufać, skoro wciąż pamiętała sposoby, którymi on i jego matka próbowali powstrzymać Malcolma przed zaślubieniem jej?

- Cóż, cieszę się - powiedziała z wciąż widocznym wyzwaniem w oczach. - Ważne, żebyś wiedział, co na ten temat myślę.

Giles najwyraźniej nie zgadzał się z tym, co myśli Leonie, bo w jego spojrzeniu znów błysnął zawzięty upór. Lecz dziewczyna miała już serdecznie dość wszelkich kłótni. Z premedytacją ziewnęła szeroko.

- Nie chcę być nieuprzejma, ale zanim przyszedłeś, właśnie zamierałam się położyć. Tak więc, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

Spojrzał na nią badawczo.

- Tak, wyglądasz na zmęczoną. Niepokój nie jest wskazany dla kogoś w twoim stanie. Leonie, naprawdę nie powinnaś żyć w takim napięciu.

- Nie jestem chora, dobrze wiesz. Przechodzę absolutnie naturalny proces i wcale nie stałam się bezbronną inwalidką -

mruczała, przechodząc do drzwi frontowych i znacząco je otwierając. Zrozumiał w lot i ruszył za nią. Przed wyjściem zatrzymał się jednak na chwilę i z dokładnością naukowca przyjrzał się jej zapłonionej nagle twarzy.

- Malcolm na pewno by pragnął, abyśmy się tobą zaopiekowali - powiedział, i był to naprawdę cios poniżej pasa.

- Nie przypominam sobie, żebyś był tak zainteresowany uczuciami Malcolma, kiedy żył! - krzyknęła z dziką furją.

Zacisnął zęby. Twarda linia jego szczęk zarysowała się jeszcze wyraźniej na pobladłej nagle twarzy.

- Może od śmierci brata wiele się nauczyłem - powiedział niskim, nieprzyjemnym głosem i szybko wyszedł.

Leonie patrzyła za nim długą chwilę. Czuła się zawstydzona i winna, a potem, gdy rozmawiały o tym z Angelą, wcale nie była zaskoczona reakcją koleżanki.

Angela uważała, iż jej przyjaciółka postradała zmysły.

- Powinnaś zaakceptować wszystko, co pragnę ci zaofiarować - rzekła z mocą.

- Ostatecznie, dziecko będzie należało i do ich rodziny. Nie ma znaczenia, że nie zdążyliście się pobrać. Gdyby Malcolm żył, już dawno bylibyście małżeństwem. Ich pomoc ci się należy i dobrze wiesz, jak bardzo jej potrzebujesz. Nie będziesz miała gdzie mieszkać po urodzeniu dziecka, może też nie będziesz miała pracy. Co zamierzasz zrobić, skoro odrzuciłaś ofertę Gilesa?

- Nie wiem - w głosie Leonie zadźwięczało znużenie.

- Błagam, nie znęcaj się nade mną. Giles wystarczająco mnie już dziś namęczył.

- To znaczy, że wiesz, iż mam rację! - mruknęła z przekąsem Angela, ale postanowiła dać na razie przyjaciółce spokój. Wzruszyła więc ramionami i zmieniła temat. Zaczęła mówić o swojej nowej sympatii.

Jej poprzedni chłopak, Jack, właśnie wyjechał do odległej części kraju. Chciał, by wciąż utrzymywali kontakt, ale Angela stwierdziła, że najlepiej będzie, jak rozstaną się od razu - spokojnie i bez

wzajemnych pretensji, nadal pozostając przyjaciółmi.

Angela była bardzo niezależna i choć uwielbiała męskie towarzystwo, jak do tej pory nie trafił się jeszcze nikt, bez kogo nie mogłaby żyć. Teraz jednak, gdy mówiła o swojej nowej fascynacji, dało się zauważyć niespotykane u niej ożywienie i czułość.

Na imię miał Andrew, był młodym lekarzem i pracował w jednym z londyńskich szpitali.

- Kiedy będę mogła go poznać? - zapytała Leonie z ciekawością i Angela obiecała, że w najbliższym czasie urządzi w domu małe przyjęcie z jego udziałem.

- Jestem pewna, że Andrew ci się spodoba - oświadczyła. - Zaprosimy tylko kilka osób. Zresztą więcej niż tuzin i tak się u mnie nie zmieści. Coś prostego do przyrządzenia i podania, hm... pizza albo spaghetti... Sami będą mogli sobie wziąć z kuchni, a potem siedzieć w pokoju na podłodze. Do tego trochę czosnkowego chleba, owoce... i wino... Mmm, sielanka!

- Czy mogę wystąpić przeciwko siedzeniu na podłodze podczas jedzenia? - zapytała Leonie i skrzywiła się śmiesznie. - Może i uda mi się usiąść, ale nie ręczę, że zdołam wstać!

Angela ze zrozumieniem zerknęła na ciężką sylwetkę przyjaciółki i kiwnęła wesoło głową. - No dobrze - przyzwoliła łaskawie - ty, w drodze wyjątku, dostąpisz zaszczytu siedzenia na krześle. Poproszę każdego, żeby coś przyniósł do jedzenia albo picia. Coś, na co będzie miał ochotę, a najlepiej wino.

- Pomogę ci w gotowaniu - zaofiarowała się Leonie. Była rada, że jest coś, co na chwilę odwróci jej uwagę od własnych problemów, które wciąż przecież czekały na rozwiązanie.

Miała dziewięć tygodni do porodu. Przypuszczała, że do tego czasu zdąży znaleźć nowe mieszkanie. W klinice położniczej polecono jej też kilka pań, które opiekują się dziećmi. Leonie poznała już dwie z nich i całkiem jej się spodobały, ale nie chciała jeszcze podejmować ostatecznej decyzji w tej sprawie. Po porodzie dostanie sześć tygodni urlopu macierzyńskiego, a więc łącznie miała jeszcze ponad trzy miesiące do namysłu. Gdy to rozważała, właściwie czuła

ulgę, lecz z drugiej strony ciągła niepewność była stanowczo denerwująca. Nie wiedziała, jakie niespodzianki przyniesie przyszłość i czy podoła wszystkim przeciwnościom losu. Poza tym, jej obecny stan sprawiał, że często czuła się zmęczona. Ogólnie rzecz biorąc, jej życie, w swym aktualnym stadium, było naprawdę nieuporządkowane.

Impreza u Angeli była czymś, co odwracało jej uwagę od własnych kłopotów. Już samo pomaganie przyjaciółce w przygotowaniach sprawiło jej ogromną przyjemność.

Upiekły ogromną pizzę, owinęły ją w srebrną folię i włożyły do gorącego piecyka, by nie ostygła. Następnie przygotowały salaterki z sałatkami, a Leonie zrobiła przepyszny mus czekoladowy, który wstawiły do lodówki na godzinę przed przyjściem gości. Angela kupiła kilka butelek czerwonego wina na dobry początek i miała nadzieję, że każdy przyniesie też jakąś butelkę ze sobą, aby zabawa toczyła się gładko.

Pierwszy przyszedł Andrew i Angela powitała go głośnymi okrzykami radości. Radość była jeszcze większa, gdy zobaczyła, że pod pachą chłopak taszczy dwie butelki szampana.

- Cóż za gest i jakie serce! - zawołała, zarzucając mu ręce na szyję i całując go czule w oba policzki.

Leonie polubiła Andrewa od pierwszego wejrzenia. Wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnych włosach i piwnych oczach. Nie był ideałem piękności, ale miał cudowny, ciepły uśmiech, któremu nie sposób było nie ulec.

- To jest Leonie - powiedziała Angela i wskazała palcem na przyjaciółkę. - Pamiętasz, opowiadałam ci o niej.

Leonie zarumieniła się. Co też Angela mogła mu powiedzieć? Nie bardzo podobało jej się, że koleżanka plotkowała o niej z kimś, kogo Leonie nawet nie знаła. Niepewnie spojrzała w jego piwne oczy, ale zobaczyła w nich na szczęście przyjacielski uśmiech.

- Cześć, jestem Andrew i wnioskując z twego wyrazu twarzy, robisz dokładnie to, co ja przy tego rodzaju okazjach, a mianowicie zastanawiasz się gorączkowo, co też Angela mogła o tobie

naopowiadać!

- Coś w tym rodzaju - zaśmiała się z ulgą.

- Ej tam, tylko bez głupich przygaduszek! - ostrzegła Angela. - O, znów ktoś idzie. Pójdę zobaczyć. Andrew, otwórz przez ten czas szampana, a ty, Leonie, znajdź jakieś odpowiednie kieliszki.

- Uwielbiamy rozkazywać, nieprawdaż? - przekomarzał się Andrew, ale Angela już pędziła do drzwi wpuścić nowo przybyłych, którzy także, ku jej uldze i radości, nieśli ze sobą butelki z alkoholem.

Wkrótce pokój zapełnił się ludźmi i zaczęła się hałaśliwa zabawa. Minęło dobrych kilka godzin, zanim Leonie znów wpadła na Andrew. Dźwigała właśnie z kuchni tacę pełną czystych kieliszków. Andrew spojrzał na nią z naganą, odebrał jej tacę i oddał ją innej dziewczynie, prosząc, by zaniosiła do pokoju i dała chłopakowi rozlewającemu alkohole.

- A ty masz natychmiast usiąść i siedzieć - powiedział do Leonie głosem nie znoszącym sprzeciwu, po czym zwrócił się do siedzących na sofie: - Czy bylibyście tak mili i poszli sobie stąd? Leonie musi położyć się stopami do góry.

- Jasne, panie doktorze! - poderwali się natychmiast.

- Ależ nie, naprawdę - broniła się Leonie, ale Andrew łagodnym, acz stanowczym gestem posadził ją na sofie.

- Nogi do góry! - zakomenderował i dziewczyna posłusznie usłuchała. Zacerwieniła się przy tym lekko, gdyż nienawidziła być w centrum uwagi, a wszyscy się w tej chwili jej przyglądali.

- Chyba nie zamierzasz teraz rodzić? - zapytał ktoś.

- Oczywiście, że nie, ale była na nogach stanowczo za długo i robiła stanowczo za dużo rzeczy wymagających wysiłku - odpowiedział za nią Andrew.

Wszyscy natychmiast się ulotnili ze strachu, by nie poproszono ich o pomoc.

Andrew tymczasem usiadł obok na sofie, położył sobie nogi Leonie na kolanach i ku jej rozbawionemu zawstydzeniu zdjął jej pantofle.

- Angela mówiła, że szukasz jakiegoś taniego mieszkania do

wynajęcia - powiedział i jednocześnie, niemal automatycznie, zaczął masować jedną ze stóp Leonie. Dawało to niezwykle kojący efekt.

- Co równa się szukaniu złotego piasku na ulicach - przytaknęła sarkastycznie.

Andrew uśmiechnął się wyrozumiale i pokiwał głową.

- Tak jakbym nie wiedział - mruknął. - Gdy jeszcze byłem na studiach, to jak ktoś nie dostał kwatery szpitalnej, znalezienie czegoś taniego było marzeniem ściętej głowy. Czy musi to być koniecznie coś tutaj, to znaczy, czy rozważasz możliwość zamieszkania poza Londynem?

Spojrzała na niego szybko, z bijącym sercem.

- Dlaczego? To znaczy, tak... to znaczy, rozważyłabym każdą możliwość, okazję... Nie mówisz chyba, że znasz jakieś miejsce... jakieś miejsce, na które mogłabym sobie pozwolić?

- Nie wiem - w jego głosie znać było wahanie. - Nie chciałbym, żebyś sobie za wiele obiecywała, ale coś nagle przyszło mi do głowy. Oczywiście, może nie wypalić... Widzisz, moja matka nigdy nie wynajmowała mieszkania, lecz odkąd mój ojciec zmarł, mieszka zupełnie sama w pustym domu. - Zobaczył zapał w jej oczach i pokręcił niezdecydowanie głową. - Proszę cię, nie obiecuj sobie zbyt wiele. Najpierw musiałbym z nią porozmawiać. Jest bardzo samotna. Ciągłe do mnie dzwoni i błaga, abym przyjechał. Ale ja nie bardzo mogę sobie pozwolić na tak częste jeżdżenie w tę i z powrotem.

- W jakim wieku jest twoja matka?

- Sześćdziesiąt cztery. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co robić. Już prawie w ogóle nie mam wolnego czasu. Jeśli nie pracuję, to jadę odwiedzić matkę. Angela coraz bardziej się niecierpliwi i muszę przyznać, że ja też. Chciałbym mieć chociaż kilka godzin w tygodniu dla siebie, ale z drugiej strony czuję, że muszę pomóc matce. Ona tak bardzo potrzebuje towarzystwa.

- A gdzie mieszka?

- Daleki Essex. Mała wioska, kilka mil od ujścia Tamizy. No i na tym polega cały problem. Jeśli chcesz pracować tam gdzie teraz, będzie to oznaczało dwie godziny podróży w jedną stronę. Jestem

jednak pewien, że znajdzie się coś dla ciebie w tamtej okolicy.

Zresztą i tak moja matka musiałaby cię najpierw zobaczyć.

- Oczywiście - oczy Leonie płonęły gorącym zapalem.

- Chcesz, żebym z nią porozmawiał?

- Och tak, proszę! - Jak mógł w to wątpić? Uśmiechnął się, widząc na jej twarzy szczery zapal.

Jego długie palce wciąż zajęte były masowaniem stóp Leonie. Dawało to cudownie kojący efekt i dziewczyna nie posiadała się z zachwytu.

- Porozmawiam z nią. Kiedy mogłabyś tam pojechać? Może w tę sobotę rano?

- Tak! Oczywiście! - wykrzyknęła. Zgodziłaby się na każdy termin, a sobota jest bez wątplenia najlepszym dniem na podróż. Nawet nie trzeba zwalniać się z pracy.

- Co wy wyprawiacie? - niespodzianie przy sofie znalazła się Angela i teraz nieprzyjemnie mierzyła ich podejrzliwym spojrzeniem. - Szepczecie w tym kącie i szepczecie. Można wiedzieć o czym? - i zanim zdążyli odpowiedzieć, dodała jeszcze chłodniej: - Czyżbyś był czcicielem stóp, Andrew? Można spytać, po co trzymasz jej stopy na kolanach i bawisz się nimi? Bóg raczy wiedzieć, co sobie ludzie myślą!

- A kogo obchodzi, co sobie ludzie myślą? - zapytał Andrew lekceważaco, najwyraźniej dotknięty tą nagłą podejrzliwością.

- Angie, nie żartuj. - Leonie z niepokojem patrzyła to na jedno, to na drugie. Była zdenerwowana, że jest powodem nieporozumienia. - Andrew był po prostu uprzejmy, naprawdę - i pośpiesznie wyrwała stopy Andrew, opuszczając je na podłogę.

- Uprzejmy! I jaki kochany! - mruknęła zjadliwie Angela.

- Tak! - Leonie była bardzo czerwona. - Oj, proszę cię... Popatrz na mnie! Mam w tej chwili rozmiary małego słonia, czy naprawdę podejrzewasz, że mogłabym oczarować kogokolwiek?

Angela wcale nie wyglądała na przekonaną.

- Wiesz, on prawie znalazł dla mnie mieszkanie - kontynuowała Leonie. - Czyż nie jest to cudowne?! A masował moje stopy dlatego,

że... - zająknęła się, bo tak naprawdę to właściwie nie miała pojęcia, dlaczego Andrew to robił.

- Jej kostki były kompletnie spuchnięte od biegania z tacami pełnymi jedzenia i kieliszków - wytłumaczył z powagą Andrew. - Nie powinna być tyle czasu na nogach. Musi więcej dbać o siebie.

- Hm - mruknęła Angela wciąż jeszcze nie przekonana do końca. Po chwili jednak postanowiła, że tym razem wspaniałomyślnie przebaczy. - A co z tym mieszkaniem? Jakim mieszkaniem? Gdzie?

Gdy Andrew jej powiedział, skrzywiła się z dezaprobatą: - Ale przecież to oznacza opuszczenie Londynu, wszystkich przyjaciół, na przykład mnie... Ona uwielbia Londyn, nie spodoba jej się na wsi. Poza tym, będzie mi jej tu brakowało.

- Mnie też będzie cię brakowało - uśmiechnęła się Leonie. - I wszystkich innych, ale obawiam się, że w mojej sytuacji to jest jedyne wyjście.

- Wcale nie jedyne - zauważyła oschle Angela. - Zawsze pozostaje ci Giles Kent.

- O nie! Tej możliwości nie zamierzam nawet wziąć pod uwagę! - nagłe oburzenie i gniew Leonie były tak silne, że pozostała dwójka umilkła zaskoczona i przyglądała się jej nie bez cienia podejrzliwości.

Następnego dnia wieczorem zadzwonił do niej Andrew z dobrą wiadomością - jego matka zgodziła się spotkać z Leonie i porozmawiać o ewentualnym wynajęciu mieszkania.

- Ale pamiętaj, jeszcze nic nie jest przesądzone - podkreślił. - Naprawdę nie jestem pewien, czy moja mama będzie w stanie zaakceptować kogoś obcego w domu. Zobaczymy. Przyjadę po ciebie w sobotę rano o dziesiątej i zawiozę do niej, to się poznacie. Zjemy razem obiad, a potem ja się urwę na spacer i będziecie mogły sobie porozmawiać. Ostatni pociąg do Londynu odjeżdża stamtąd późnym popołudniem. Oczywiście odwiozę cię na stację.

Leonie jechała na to spotkanie z ogromną treścią, ale okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Pani Colpitt była miłą, przyjacielską osobą i obie polubiły się właściwie od razu.

- Miło byłoby mieć tu jakieś towarzystwo. Są takie dni, kiedy nie spotykam żywej duszy. Chyba że pójde do tutejszego sklepu i porozmawiam sobie z panią Dawlish - powiedziała, uśmiechając się ciepło do Leonie. - A teraz chodź, obejrzymy mieszkanie. Jest prawie zupełnie oddzielne. Będiesz nawet miała swoje własne drzwi wejściowe. Zresztą, osądź sama.

Było to przytulne, małe mieszkanko. Leonie miałyby tu swoją własną kuchnię, sypialnię, małej pokój gościnny, niewielką jadalnię i malusieńką łazieneczkę.

- Tu jest cudownie - powiedziała i przez następne pół godziny wszystko zostało ustalone.

Przeprowadzi się tutaj w ciągu najbliższych trzech tygodni, jak tylko zacznie się jej urlop macierzyński, a więc nie będzie musiała szukać pracy przez kilka kolejnych miesięcy. Da jej to czas na przyzwyczajenie się do nowego miejsca. Będzie również musiała zmienić lekarza i zarejestrować się w tutejszym szpitalu.

- To jest coś, co musisz załatwić jak najszybciej, bo później może się okazać, że nie ma na przykład miejsc w najbliższym szpitalu - ostrzegął Andrew w drodze na stację.

- Dopilnuję tego natychmiast - przytaknęła skwapliwie, po czym dodała z wdzięcznością: - Nie wiem, jak ci dziękować, Andrew. Nie zdajesz sobie sprawy, jak się martwiłam. Naprawdę nie miałam pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzę. A teraz, dzięki tobie, wszystko jest nagle takie proste.

- Nie ma sprawy - mruknął i aż zarumienił się z zadowolenia. - Po prostu nagle olśnił mnie ten pomysł, a potem okazało się, że wszystko poszło po naszej myśli.

W tym momencie nadjechał pociąg i należało się śpieszyć. Leonie uniosła się na palcach, szybko ucałowała Andrew w policzek, po czym odwróciła się i wsiadła do najbliższego wagonu.

- Dziękuję! - krzyknęła jeszcze raz, z wdziękiem machając ręką na pożegnanie.

W niedzielę rano obudziła się dość późno. Zjadła lekkie śniadanie, a następnie usiadła przy stoliku z zamiarem zrobienia listy

wszystkich spraw, które trzeba załatwić przed przeprowadzką. Przyzwyczała się do myśli, że wciąż ma mnóstwo czasu, a tu nagle zostały jej jeszcze tylko trzy tygodnie, zanim opuści Londyn, pozostawiając w nim swoją pracę i wszystkie znajome miejsca i twarze. Jej życie miało właśnie ulec kompletnej zmianie. Na tę myśl, lekki dreszcz przeszedł jej po plecach i z niepokojem zapatrzyła się w kartkę papieru, na której sporządziła swoją listę. Ogarnął ją nagły lęk przed nieznaną przyszłością. Trwało to jednak ułamek sekundy. Już za chwilę podniosła głowę i wyprostowała się. Poradzi sobie. Poradzi sobie ze wszystkim. Wmawiała to sobie od miesięcy. I tak będzie.

Podskoczyła nerwowo na ostry dźwięk dzwonka u drzwi. Kto to może być?

Na pewno Angela - pomyślała, masując sobie plecy i podnosząc się z krzesła.

Poprzedniego wieczoru próbowała dodzwonić się do niej, aby powiedzieć, co postanowiła, ale przyjaciółka była w teatrze i wróciła późno, gdy Leonie dawno już spała.

Otwierając drzwi zaczęła więc ochoczo:

- Andrew jest naprawdę kochany! Wszystko jest ustalone i... - i tu głos uwiązł jej w gardle, gdyż w drzwiach stał Giles Kent.

- Co jest ustalone? - zapytał i uniósł brwi w oczekiwaniu natychmiastowej odpowiedzi.

Leonie była tak zaskoczona, że przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa, a potem opanować jąkania:

- Och, my... mmyślałam, że to Ange...

- Jak widzisz, nie jestem Angellą - zauważył szorstko. - Co jest postanowione? Wychodzisz gdzieś?

- Nie, ale... - z niezrozumiałego powodu cała mieniła się na twarzy.

- Ale co? Zamieniam się w słuch.

Jak zwykle, nie czekając na zaproszenie, postąpił krok do przodu i Leonie po prostu nie mogła nie wpuścić go do mieszkania. Ustąpiła mu więc i westchnęła ciężko, gdyż naprawdę tego dnia wyjątkowo

nie miała ochoty na kolejną rundę walki z Gilesem Kentem.

Wszedł.

Niechętnie zamknęła drzwi, zastanawiając się gorączkowo, czy powinna mu powiedzieć, iż wyprowadza się z Londynu. Nie była pewna, czy w ogóle chce, aby on cokolwiek wiedział o jej życiu. Pragnęła przecież rozpocząć wszystko od nowa, a to w pierwszej kolejności wymagało odcięcia się od Gilesa i wszystkich nieszczęśliwych wspomnień, które ze sobą przynosił.

Gdy weszła do pokoju gościnnego, zrozumiała, że decyzja została już podjęta za nią. Giles znalazł jej listę i właśnie pilnie ją studiował, marszcząc przy tym groźnie brwi.

- Co to jest? - spytał jadowitym tonem, podchodząc z nienacka bardzo blisko.

- Znalazłam nowe mieszkanie - powiedziała z rezygnacją w głosie. - Przeprowadzam się tam za trzy tygodnie i właśnie robiłam listę spraw, które muszę przedtem załatwić.

- Gdzie jest to mieszkanie? - zażądał informacji i zanim jeszcze zdążyła mu odpowiedzieć, dodał groźnym głosem:

- I kto to jest, do jasnej cholery, „kochany Andrew”?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Leonie czuła się bardzo zmieszana.

- O... on... tto... to jest jego mieszkanie! Giles zeszywniał.

- Jego mieszkanie... - powtórzył ochryplym głosem. - Czy dajesz mi do zrozumienia, że przeprowadzasz się do jakiegoś mężczyzny?

- Nie! - zaprzeczyła, czerwona jak burak. - Oczywiście, że nie.

Wprowadzasz straszny zamęt. Miałam po prostu na myśli, chodzi mi o to, że... że mieszkanie należy do jego...

- Jak on ma na nazwisko? - przerwał ostro.

- Colpitt - powiedziała z rezygnacją i zapragnęła, aby przestał już zwracać się do niej tym wrogim tonem.

Zawsze w jego obecności czuła się, jakby siedziała na ławie oskarżonych, a on był prokuratorem, który nie wierzy ani jednemu jej słowu. Teraz też przyglądał się Leonie badawczo i z głębokim niedowierzaniem. -

- Andrew Colpitt - dodała uzupełniająco. - Mieszkanie należy do niego, ale aktualnie tam nie mieszka. Mieszka w Londynie. Jest lekarzem i pracuje w szpitalu.

- To tam go spotkałaś? Czy to twój lekarz? - obrzucił nieprzyjemnym spojrzeniem jej ciężką sylwetkę.

- Nie, poznaliśmy się dzięki mojej przyjaciółce. To ona powiedziała mu, że mam kłopoty ze znalezieniem mieszkania i on zaoferował mi swoje, zanim nie znajdę czegoś lepszego. Widzisz, to mieszkanie jest w Essex, przy samym ujściu Tamizy, pomiędzy Malden a Burnham...

- Przecież to niecałe dwadzieścia mil od nas! - przerwał jej Giles i właściwie dopiero teraz w pełni to sobie uświadomiła.

- No tak, rzeczywiście blisko - powiedziała, lekko wstrząśnięta.

W Warlock House była tylko kilka razy i nie wspominała tych wizyt najmiej. Malcolm uwielbiał swój dom... Jakie to dziwne - pomyślała Leonie. Aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, że ta wioska sąsiaduje z posiadłością Warlock. A może nie było w tym nic

dziwnego? Może specjalnie nie dopuszczała do siebie myśli, że będzie mieszkała tak blisko ich domu?

- A co z twoją pracą? - pytał Giles. - Nie zamierzasz chyba dojeżdżać stamtąd do Londynu?

- Nie, oczywiście, że nie - potrząsnęła głową. - To jest właśnie to, co próbowałam ci wytłumaczyć. Andrew nie korzysta z tego mieszkania, bo jest zbyt daleko od Londynu, ale dla mnie nie będzie to miało znaczenia. Wkrótce zacznę urlop macierzyński, więc na razie nie będę pracowała.

- Oczywiście - powiedział Giles powoli.

- Zostałabym tutaj aż do urodzenia dziecka, ale potem i tak musiałabym znaleźć sobie inne mieszkanie, więc kiedy Andrew zaproponował mi tamto, natychmiast skorzystałam z okazji.

Giles przyglądał się jej z ponurym marsem na czole.

- A co będzie, jeżeli nagle i on zechce tam zamieszkać? - zapytał wykrzywiając usta w cynicznym uśmiechu. - O tym nie pomyślałaś? Nie próbuj mi tylko wmawiać, że jego oferta jest bezinteresowna, bo i tak w to nie uwierzę.

- Nie rozumiesz! Boże, wciąż ci tego dokładnie nie wytłumaczyłam!

- Przypuszczam, że rozumiem, o co chodzi, dużo lepiej niż ty.

- Nic nie rozumiesz! - spojrzała na niego z nagłą wściekłością. - Specjalnie wysnuwasz takie wnioski. Najzwyczajniej lubisz mnie obrażać. Jak zawsze! Zła opinia o mnie sprawia ci po prostu przyjemność! Bruzdy na czole Gilesa pogłębiły się.

- Ja tylko stwierdzam rzeczy oczywiste. Zaofiarowałam ci pomoc, a ty ją odrzuciłaś, akceptując jednocześnie pomoc tego mężczyzny. Dlaczego? Czy to jakiś stary przyjaciel?

Zawahała się przez chwilę, ale musiała być szczerą, więc potrząsnęła przecząco głową.

- Ale to nie ma żadnego znaczenia - wymamrotała. Giles zaśmiał się ironicznie.

- Nie? No więc, jak długo go znasz?

- Ja... jakiś czas - szepnęła unikając jego wzroku. Nie mogła

przecież powiedzieć, że spotkała Andrewa zaledwie tydzień temu.

- Co to znaczy: „jakiś czas”? Kilka miesięcy? - bacznie obserwował wyraz jej twarzy. - Kilka tygodni? - Leonie nie odpowiedziała, więc dodał ze zjadliwym tryumfem: - No proszę, a jednak przyjmujesz jego pomoc!

- To co innego - powiedziała. Wyprowadzał ją z równowagi i była coraz bliższa wybuchu. Przesunęła chłodno spojrzeniem po jego napiętej twarzy i uniosła wyzywająco głowę. - Wolałabym umrzeć, niż przyjąć cokolwiek od ciebie i twojej rodziny! Dobrze wiesz, dlaczego! A to, co robię, to nie twoja sprawa. Nie pojmuję, z jakiej racji wydaje ci się, że masz prawo brać mnie w ogień podchwytliwych pytań! Jakbyś był jakimś wielkim sędzią! O tak, uważasz, że masz prawo mnie osądzać! Zresztą od samego początku miałam wrażenie, że tylko to robiłeś!

Coraz bardziej podnosiła głos. Ogarnęła ją dziwna mieszanina uczuć: była zdenerwowana, ponieważ mówiła Gilesowi to, co o nim myślała i była zła, gdyż przypomniała sobie, w jaki sposób traktowała ją cała jego rodzina, i czuła bolesne upokorzenie, bo nagle zdała sobie sprawę, iż zawsze widział w niej wszystko, co tylko najgorsze.

- Nie powinnaś się denerwować. To może zaszkodzić dziecku. - To było wszystko, co miał do powiedzenia Giles i chciało jej się krzyczeć.

- Och, idź już sobie! - zawołała, mieniając się na twarzy. - Nie chcę cię znać! Przestań w końcu pojawiać się ni stąd, ni zowąd! Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Nigdy nie mieliśmy i nie chcę cię już nigdy widzieć!

Nareszcie podziałało. Z pewną satysfakcją zobaczyła błysk gniewu w jego szarych oczach. Usta zacisnął tak mocno, że z trudem wysyczał:

- Bardzo mi przykro, ale będziesz zmuszona jeszcze mnie trochę pooglądać. Konsultowałem się z moimi adwokatami...

- Adwokatami! - powtórzyła pobladłymi nagle wargami.

- Tak, i dowiedziałem się wielu bardzo pouczających rzeczy -

powiedział z gniewnym tryumfem, widząc panikę wymalowaną na jej twarzy. — Widzisz, Malcolm pozostawił testament. Sporządził go, zanim jeszcze cię poznał, ale wciąż jest ważny. Ja jestem głównym spadkobiercą i wykonawcą testamentu co, jak zapewne wiesz, oznacza, że do mnie należy rozstrzyganie kwestii prawnych z niego wynikłych. Malcolm nie zostawił wielkiej fortuny, ale zostawił całkiem sporą sumę pieniędzy i oczywiście swoją część rodzinnych posiadłości. Teoretycznie, wszystko to przechodzi na mnie, lecz nasi adwokaci, po dokładnym rozpatrzeniu sprawy twierdzą, że twoje dziecko będzie mogło rościć sobie prawo do części spadku po ojcu.

- Nie zamierzam niczego rościć! - zaprotestowała Leonie, ale Giles nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i kontynuował oficjalnym tonem:

- To jest prawo twojego dziecka, którego jako jego wuj i wykonawca testamentu, będę pilnował. Bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie. Potomek Malcolma nie może zostać pozbawiony należnej mu części spadku. Ty możesz nie chcieć tych pieniędzy, lecz śmiem twierdzić, że gdy twoje dziecko dorośnie, będzie miało na ten temat nieco odmienne zdanie. Lepiej więc, byśmy uporządkowali wszystko już teraz.

- Cóż - warknęła gniewnie Leonie. - Przypuszczam, że nie jestem w stanie cię powstrzymać... Ale ja nie chcę z tych pieniędzy ani grosza - zastrzegła. - Zainwestuj je jakoś, czy coś w tym rodzaju.

- Właśnie to zamierzałem zrobić - powiedział łaskawie Giles. W jego głosie brzmiały jednak niepokojące nuty. - I to właśnie stwarza kolejne ważne kwestie...

- Jakie? - zapytała dziewczyna, niemal fizycznie wyczuwając niebezpieczeństwo.

- Chociażby kwestia opieki - powiedział i Leonie krew odpłynęła z twarzy.

- Co takiego?

- Cóż, naturalną kolejną rzeczą, jako spadkobierca majątku mojego brata, będę również zarządcą pieniędzy zainwestowanych z konta jego dziecka. Automatycznie czyni mnie to prawnym

opiekunem tego dziecka... jako dziedzica posiadłości.

Powiedział to wszystko spokojnym, rzeczowym tonem. Słowa niczym noże wbijały się w serce osłupiałej dziewczyny.

- Malcolm nie uczynił cię opiekunem swojego dziecka - wyszeptała w końcu, ze ściśniętym gardłem. - Nie wiedział nawet, że zostanie ojcem.

- Naturalnie - uśmiechnął się chłodno. - Ale gdyby wiedział, na pewno by to zrobił. Tak, jak uczynił mnie opiekunem swojej posiadłości. Wiedział, że potrafię zadbać o interesy jego głównego spadkobiercy. Zresztą, ty sama nalegasz, by pieniądze zostały zainwestowane. I to ja będę zarządzał tą inwestycją, a więc, rzecz jasna, powinienem zostać także legalnym opiekunem jej właściciela.

- Nie!

Leonie poczuła, jak uginają się pod nią kolana i drząc, niczym w gorączce, osunęła się na najbliższe krzesło.

Giles pośpiesznie podszedł do niej.

- Co ci jest? Żle się poczułaś?

Potrząsnęła przecząco głową i zamknęła oczy, by uchronić się przed jego szarym, przenikliwym spojrzeniem.

- Podać ci coś? Herbatę, brandy? - pytał zaniepokojony.

- Cz... czy możesz mi przynieść szklanę wody? - poprosiła słabym głosem. Natychmiast pobiegł do kuchni.

Po chwili był już z powrotem. Pochylił się, wcisnął jej do ręki szklanę i pomógł unieść ją do ust, jakby Leonie była małym dzieckiem.

Piła spragniona. Przymknęła oczy w nadziei, że pomoże jej to zapomnieć, iż Giles stoi tuż przy niej, ale nie udało się.

Może odszedłby, gdyby uwierzył, że ona słabo się czuje?

Kiedy przestała pić, wziął od niej szklanę i wyprostował się, lecz nie zamierzał odchodzić.

- Jak się teraz czujesz?

- Chciałabym się położyć na jakiś czas, więc jeśli mógłbyś już pójść... - powiedziała miękko.

Na chwilę zapadła pomiędzy nimi cisza.

- Najpierw musimy zakończyć naszą rozmowę
- usłyszała w końcu. - Sądzę, że powinnaś być świadoma kroków prawnych, które zamierzam podjąć.
- Kroków prawnych... - powtórzyła z niedowierzaniem, otwierając szeroko oczy.

Zaskoczyło ją, że wciąż stoi tak blisko. Patrzył na nią z góry. W jego oczach zobaczyła chłód i determinację.

- Zamierzam stać się prawnym opiekunem dziecka na mocy tego, że jestem też opiekunem mojej matki. Jestem pewien, że prawo będzie po mojej stronie.

- Ale matką dziecka jestem ja! - krzyknęła z rozpaczą.

Wywołało to tylko nie wróżący niczego dobrego krzywy uśmiech zaciętych ust.

- Nie masz pieniędzy, nie masz własnego mieszkania, wkrótce nie będziesz miała pracy i będziesz musiała żyć z zasiłku. Nawet, jeśli znajdziesz nową pracę, będziesz zarabiała mało i będziesz musiała zostawiać dziecko pod cudzą opieką.

Wpatrywała się w niego ponuro. Trudno było zaprzeczyć temu, co mówił.

- Czyż nie tak? - kontynuował z bezwzględną szczerością. - Ja z kolei mam całkiem sporo pieniędzy i jestem w stanie zapewnić dziecku mojego brata wspaniałą przyszłość. Taki poziom życia, jaki zapewniłby mu ojciec, gdyby żył.

- Pieniądze to nie wszystko! Będę kochała moje dziecko i stworzę mu dobry, kochający dom... - wyszeptała ze łzami w oczach.

- Nie wątpię, że będziesz się starała, ale będzie wam obojgu bardzo ciężko. Choć wcale nie musiałyby tak być, gdyby nie fakt, że jesteś upartą egoistką.

- Egoistką!

- A jak można to inaczej nazwać? Obchodzi cię tylko twoja urażona ambicja. Masz mi za złe, że nie chciałem, żebyś wyszła za mojego brata. I dlatego odrzucasz moją pomoc. Nic cię nie obchodzi, że przede wszystkim ucierpi na tym twoje dziecko.

Przygryzła wargi, bo nie była w stanie zaprzeczyć. Giles

przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu, a potem dodał z chłodnym spokojem:

- Możemy zdać się na decyzję sądu, ale zapewniam cię, że wygram.

Patrzyła na niego nienawistnie. Wierzyła w to, co mówił. Giles zawsze wygrywał. Czyż Malcolm nie powtarzał jej tego na okrągło? Tak, Giles zawsze wygrywał i tym razem będzie podobnie. Bała się, że już teraz wygrywa. Po prostu nie wiedziała, jak ma dowodzić swoich racji. Brakło jej argumentów.

- Nie kwestionuję tego, że jako matka masz prawo do opieki nad dzieckiem - powiedział Giles po chwili milczenia. - Uważam jednak, że jako jego prawni opiekunowie powinniśmy mieć równe prawa przy decydowaniu o jego wychowaniu, edukacji i tym podobnych. Poza tym, musimy oficjalnie ustalić zasady wizyt. Zarówno dla mnie, jak i dla mojej matki.

- Przecież już powiedziałam, że twoja matka może widzieć dziecko, kiedy tylko zechce! - zaprotestowała Leonie, zdenerwowana całą tą rozmową o prawie i prawnych przywilejach.

Czy on chce odebrać jej dziecko? Czy do tego właśnie zmierza? Czy może to zrobić? Leonie musi natychmiast poradzić się jakiegoś adwokata! Skąd jednak, na litość boską, ma wziąć na to pieniądze? Może pójść do Biura Porady Prawnej i poprosić o pomoc? - zastanawiała się gorączkowo i żałowała, że nie zna się lepiej na tego typu sprawach. Ale przecież nigdy przedtem nie musiała się martwić o jakieś tam przepisy prawne. Szkoda.

- Powiedziałaś, lecz zawsze bezpieczniej jest mieć takie rzeczy na piśmie - oświadczył Giles. - Za jakiś czas możesz zmienić zdanie i wszystkiemu zaprzeczysz.

- Nie zrobiłabym tego!

- Mniejsza o to - wzruszył ramionami. - Chcielibyśmy mieć to czarno na białym. I jeszcze jedno. Moją matkę bardzo martwi, że dziecko odziedziczy wprawdzie posiadłość swego ojca, nie będzie jednak nosiło jego nazwiska.

Leonie westchnęła niepewnie.

- Prawdę powiedziawszy, też o tym myślałam - powiedziała z wahaniem. - Chciałabym, żeby dziecko Malcolma nosiło jego nazwisko, ale byłoby żenujące, gdybyśmy nazywali się inaczej.

- To prawda, lecz można i temu zaradzić.

- Tak? - spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Tak - przytaknął obojętnie. - Możesz wyjść za mnie, zanim dziecko się urodzi i wtedy ono legalnie odziedziczy nazwisko Kent.

Zastygła w bezruchu, wpatrując się w niego ogromnymi oczami. Nie była pewna, czy to głupi żart, czy zły sen, czy może się po prostu przesłyszała.

- To wcale nie jest śmieszne! - wydusiła w końcu z siebie.

- Wcale nie miało być.

- Nie możesz myśleć o tym poważnie!

- Ja jestem zawsze poważny - powiedział Giles tym swoim chłodnym i spokojnym głosem, brzmiącym tak nierealnie, że uległa jeszcze silniejszemu wrażeniu, że to jest jakiś dziwaczny, surrealistyczny sen. Raczej senny koszmar.

- Widzisz, nie wystarczy zarejestrować dziecko pod nazwiskiem Kent. Moja matka obawia się, co będzie w przyszłości. Na przykład, jeśli wyszłabyś za mąż za kogoś innego.

- Nie zamierzam... - zaczęła, lecz przerwał jej ostro:

- Teraz możesz tak mówić, ale jesteś jeszcze bardzo młoda. Z czasem pogodzisz się ze śmiercią Malcolma i poznasz kogoś innego. Na przykład ten lekarz, ten cały Colpitt... Nie mam wątpliwości, że musi być tobą zainteresowany. Inaczej na pewno nie byłby taki wspaniałomyślny i nie zaofiarowałby ci swojego własnego mieszkania.

- Ależ on wcale nie jest mną zainteresowany! - zaprzeczyła natychmiast Leonie, lecz Giles, jak zwykle, nie raczył nawet wziąć tego pod uwagę.

- Może po prostu nie zdajesz sobie jeszcze sprawy z jego uczuć... Ale nawet, jeśli nie podoba ci się doktor Colpitt, pewnego dnia na pewno znajdzie się ktoś inny. Jesteś bardzo ładna i bardzo kobieca. To, że będziesz miała dziecko, nie znaczy wcale, że będziesz odcięta

od życia towarzyskiego. Wcześniej czy później na pewno wyjdiesz za mąż. Twój mąż z kolei może nalegać, aby dziecko przyjęło jego nazwisko. Może też odmówić nam prawa wizyt, a nawet pokusić się o przejęcie spadku po Malcolmie. I dlatego musimy zabezpieczyć prawa zarówno nasze, jak i dziecka.

- Oszalałeś! Jesteś zupełnie pomyłony! - wybuchnęła Leonie, a Giles ni z tego, ni z owego roześmiał się wesoło, co już ją do reszty dezorientowało.

- Wręcz przeciwnie. Przemawia tu tylko mój zdrowy rozsądek - oświadczył i nagle znów spoważniał. - Nie pozwolimy, żebyś wyszła za mąż i tym samym oddała dziecko Malcolmowi w ręce obcego mężczyzny. A ponieważ mamy już niewiele czasu do narodzin, proponuję, abyśmy pobrali się najszybciej, jak to tylko możliwe. W urzędzie stanu cywilnego.

Leonie oddychała ciężko, jak ryba wyciągnięta z wody. W końcu udało się jej jakoś z siebie wydusić:

- Nigdy nie słyszałam czegoś tak...

- Nie martw się, dopilnuję wszystkich formalności.

- Postradałeś zmysły!

- Pozwól sobie zasugerować, byśmy zaprosili tylko najbliższą rodzinę. Twoja matka, moja, moja siostra i jej rodzina. Żadnych znajomych, nawet twojej koleżanki Angeli.

- Posłuchaj mnie! - krzyknęła Leonie strasznym głosem, skoro jak do tej pory jej spokojne słowa najwyraźniej do niego nie docierały. - I wbij to sobie do głowy: nie zamierzam wyjść za ciebie za mąż!

- Czy preferujesz jakieś konkretne miejsce? Londyn? Tak, przypuszczam, że to najlepsze. W Essex wzbudzilibyśmy zbyt wielkie zainteresowanie, a przecież nie potrzebujemy ani plotek, ani gapiów...

- To nieprawda, to tylko głupi sen... - jęknęła Leonie do ściany.

- A propos, jestem zmuszony prosić cię o podpisanie umowy przedmałżeńskiej. Zapewniam cię, iż w dzisiejszych czasach jest to powszechnie praktykowane. Mam nadzieję, że rozumiesz. W tak

niezwykłych okolicznościach muszę się zabezpieczyć.

- Nie wyjdę za ciebie! - krzyknęła po raz kolejny.

- I oczywiście przygotuję jednocześnie wszystkie dokumenty dotyczące dziecka, aby nie było żadnych prawnych wątpliwości, kto jest naturalnym ojcem.

W tym momencie Leonie podniosła się, podeszła do niego i bardzo cicho wycodziła przez zaciśnięte zęby:

- Wyprowadzam się z tego mieszkania i wyjeżdżam stąd.

Cokolwiek powiesz, czy zrobisz, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nie wychodzę za ciebie za mąż. Jeśli dopisze mi szczęście, już cię nawet nigdy nie zobaczę. Będziesz musiał ściągnąć mnie do sądu, jeśli chcesz widywać moje dziecko. Zresztą zamierzam wygrać ten proces. Niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało...

- Będzie cię to kosztowało twoje dziecko.

- Nie mógłbyś mi tego zrobić...

- Mógłbym - powiedział i nie miała wątpliwości, że mówi prawdę.

Ogarnął ją paniczny lęk. Była w potrzasku. Dał jej do zrozumienia z przerażającą jasnością, że gdziekolwiek ona ucieknie, on ją znajdzie i zmusi, aby zrobiła to, czego żąda jego rodzina. Nosila w sobie dziecko jego brata i on zamierzał sprawować nad nim kontrolę.

Nad nią zresztą też. Narzucanie innym własnej woli było częścią jego natury i dobrze wiedział, jak to robić. Przerzął ją.

- Wyjdiesz za mnie za mąż - usłyszała i ogarnęła ją taka groza, że odwróciła się i chciała uciekać. Nie ważne gdzie, prosto przed siebie. Jak zatrwożone dziecko, które nie wie, ani dokąd biegnie, ani w jakim celu.

Giles złapał ją, nim zdążyła oddalić się gdziekolwiek. Jego ręce zacisnęły się na jej ramionach. Odwrócił ją zmuszając, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Zabieraj te ręce! - krzyknęła, dygocząc ze zdenerwowania. -

Nie wyszłabym za ciebie nawet, gdybyś był jedynym mężczyzną na świecie! Nienawidzę cię!

Znieruchomiał na chwilę. Przyglądał się jej, pochylając głowę.

Przez moment Leonie nie mogła odszyfrować wyrazu tej napiętej twarzy, lecz po chwili w jego oczach wyraźnie błysnęła złość, a usta zacisnęły się w zimnej irytacji.

Ogarnęły ją złe przeczucia.

- To bardzo niedobrze - wycedził. - Niezależnie od tego, czy mnie nienawidzisz czy kochasz i tak zostaniesz moją żoną. Lepiej przyzwyczaj się od razu do tej myśli, Leonie.

Stała z oczami hipnotycznie utkwionymi w jego oczach.

- Nie - szepnęła w końcu. - Nie mogłabym za ciebie wyjść! Nie mogę nawet ścierpieć twojego dotyku!

Natychmiast pożałowała tego, co powiedziała. Było to głupie i nierozważne.

Drgnęła nerwowo, gdy zobaczyła gniewny błysk ponurych, szarych oczu.

- Nie możesz? Cóż, przekonajmy się, czy aby na pewno... - wycedził i powoli zaczął pochylać się nad nią coraz niżej, nic sobie nie robiąc z widocznego na jej poblądłej twarzy śmiertelnego przerażenia.

- Nie... Nie waż się...

Zaborcze wargi wpiły się w jej usta ze zniewalającą przemocą.

Próbowała wyrwać się, ale on przyciągał ją do siebie z rosnącą siłą. Szamotała się w jego ramionach, niczym ptak schwytyany w sidła. Ogarnęło ją paraliżujące gorąco jego ciała. Poczuła je na swoich ramionach, piersiach, udach. Natarczywe dłonie przesunęły się po jej plecach, wsunęły pod włosy, pieściły szyję, przygarnęły jej drżące ramiona... Nie mogła oddychać.

Zadrzała gwałtownie czując, jak wzbiera w niej pożądanie. Uścisk stawał się coraz bardziej intymny. Pocałunki coraz bardziej śmiałe, nagłące i natarczywe.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Była tak zaskoczona reakcją własnego ciała, że nie była w stanie dłużej się opierać.

Zamknęła oczy. Westchnęła cicho i rozchyliła usta, które zadrzały pod gorączkowym naporem pocałunku.

Kiedy Giles wreszcie dźwignął głowę i odsunął się od niej, Leonie

prawie omdlała. Czują teraz na sobie jego wzrok i siła tego spojrzenia zmusiła ją do podniesienia oczu. Wpatrywali się w siebie i Leonie pomyślała, że Giles jest tak samo wstrząśnięty, jak ona. I wtedy jej drzenie wzmogło się. Napięcie zmysłów znów odbierało jej świadomość. Czy on czuł to samo? Co się z nimi działo?.

Jego oczy ześlizgnęły się w dół i spostrzegł, jak ona drży. Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Mówiłaś coś?

Miała wrażenie, że skóra ją pali i odwróciła się. Nienawidziła go, lecz teraz nienawidziła też samą siebie. Jak mogła pozwolić, aby zrobił z nią coś podobnego? I uczynił to z premedytacją, aby ją poniżyć i upokorzyć. Udowodnił, że jeśli tylko będzie miał ochotę wykorzystać ten swój męski wdzięk, o którym wciąż paplała Angela, to ona nie będzie w stanie mu się oprzeć...

Zebrała resztki silnej woli i zdołała nadać swojej twarzy lekceważący wyraz.

- To, że nie byłam w stanie ci się przeciwstawić, wcale nie znaczy, że sprawiło mi to jakąkolwiek przyjemność - rzuciła. - Niedobrze mi się robi na samo wspomnienie i jeśli jeszcze kiedykolwiek mnie dotkniesz, zabiję cię!

Cień zaległ na jego twarzy. W oczach znów błyszczała groźba.

- Ale wyjdiesz za mnie za mąż - syknął. - Albo poniesiesz wszelkie konsekwencje i zapewniam cię, Leonie, że wygram. Ja zawsze wygrywam.

Wierzyła mu. Tak, zostanie zmuszona do tego małżeństwa. Czy jej się to podoba, czy nie.

- Nie możesz! - krzyknęła przerażona Angela.

- Zawsze powtarzałaś, że nienawidzisz tego człowieka, a teraz twierdzisz, że zamierzasz... och... nie wierzę! To jakaś paranoja! Nie możesz za niego wyjść!

- To ty twierdziłaś, że powinnam zwrócić się do niego po pomoc - powiedziała Leonie z ponurym uśmiechem, choć sama nie wiedziała, co właściwie ją tak rozbawiło w świętym oburzeniu koleżanki.

Nie było w tym nic zabawnego. Angela miała rację. Branie pod uwagę małżeństwa z Gilesem Kentem było po prostu czystym idiotyzmem.

- Dobrze wiesz, że nie taką pomoc miałam na myśli - Angela była zła i rozdrażniona. - I wciąż uważam, że Kentowie powinni ci pomóc. Przecież to dziecko Malcolma. Nieważne, że nie byliście małżeństwem. Zamierzaliście się pobrać i jestem pewna, że mogłabyś prawnie żądać pomocy. Tym bardziej, że mają tyle forsy! Spokojnie mogą sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

- Właśnie cały problem polega na pieniądzech - powiedziała gorzko Leonie. - Masz rację, mogłabym dochodzić całkiem sporej sumy. Dowiedzieli się, że dziecko ma prawo żądać części rodzinnych pieniędzy i to właśnie ich przeraziło.

- Ależ to właśnie jest wspaniałe! - ekscytowała się Angela. - Nie będziesz musiała się niczym przejmować, jeśli...

- Nic nie rozumiesz - przerwała Leonie. - Oni nie mają najmniejszego zamiaru powierzania mi żadnych pieniędzy. Zresztą powtarzałam, że ich nie chcę, ale Giles i tak mi nie ufa. Twierdzi, że mogę tak mówić teraz, ale skąd mogą wiedzieć, czy w przyszłości nie zmienię zdania. Tak czy owak, Giles będzie opiekunem pieniędzy. Zostaną zainwestowane do czasu, gdy dziecko osiągnie pełnoletność.

- Co w tym złego? - wciąż nie pojmowała Angela.

- Przecież to jest chyba dokładnie to, czego życzyłby sobie Malcolm. Nie możesz mieć pretensji, że twoje dziecko odziedziczy pieniądze swego ojca!

- Oczywiście, że nie mam takich pretensji.

- No więc? Gubię się. Najpierw mówiłaś, że Giles szantażował cię i zmuszał, żebyś została jego żoną, a teraz twierdzisz, że we wszystkim się zgadzacie...

- Właśnie ci tłumaczę, że Giles wprawdzie zamierza mieć pieczę nad zainwestowanymi pieniędzmi, ale obawia się, że wyjdę za mąż za kogoś, kto pewnego dnia sam będzie chciał się zająć pieniędzmi swojego pasierba. Postanowił więc, że mnie poślubi, tym samym zdobędzie kontrolę nad moim dzieckiem i zatrzyma pieniądze w

rodzinie Kentów.

Oczy Angeli zaokrągliły się i w zamyśleniu gryzła dolną wargę.

- Hm, przypuszczam, że ma to jakiś ukryty sens...

- Dla komputera! - parsknęła z furią Leonie.

- Dla mężczyzny o uczuciach komputera!

- Nie bierz więc z nim ślubu, jeśli naprawdę tak bardzo go nienawidzisz - wzruszyła ramionami Angela i przyjrzała się przyjaciółce z podejrzliwym zainteresowaniem. - Nie może przecież zaciągnąć cię siłą do ołtarza.

- Może - burknęła Leonie.

- No wiesz, to już nie te czasy! Ciekawe, jak zamierzałyby to zrobić?

- Zacznie procedurę prawną w celu odebrania mi dziecka, jak tylko się ono urodzi...

- Żartujesz!

- Właśnie tym mi groził. Zamierza wystąpić o opiekę nad nim na tej podstawie, że jest ono dziedzicem dużej fortuny, a ja nie mam możliwości zapewnienia mu dostatecznych warunków życia.

- Ale przecież żaden sąd nigdy nie zgodzi się na coś podobnego!

- Może i nie, ale co będzie, jeśli się zgodzi? - w głosie Leonie dźwięczało znużenie. - Takie rzeczy naprawdę się zdarzają. Bogaci ludzie mogą sobie pozwolić na najlepszych adwokatów. Dobrze wiesz, że mogą manipulować prawem. Poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy. Kentowie mają dużo więcej do zaoferowania dziecku niż ja. W sensie materialnym, oczywiście. Sąd może orzec, że w interesie dziecka będzie oddanie go pod opiekę babki.

- Taak, rozumiem, o co ci chodzi - Angela była już teraz śmiertelnie poważna.

- Muszę skontaktować się z Andrew, wytłumaczyć mu wszystko i przeprosić. Był dla mnie taki życzliwy - Leonie westchnęła ze smutkiem. - Naprawdę cieszyłam się na to mieszkanie u jego matki. Och, czemu życie jest takie... takie niemożliwe do przewidzenia? Dlaczego to wszystko zdarza się właśnie mnie? Tak znikąd. Zawsze, gdy myślałam, że ostatecznie coś już jest przesądzone, to bum!, i los

trafia mnie czymś, czego w żaden sposób nie byłam w stanie przewidzieć. Miałam poślubić Malcolma... - głos jej się załamał i przygryzła wargi usiłując ukryć łzy. - No wiesz, wszystko się zawaliło - przetarła oczy.

- A teraz to. Wszystko zdawało się układać tak dobrze. Myślałam, że się tam przeprowadzę, odsapnę, urodzę sobie w spokoju i znów los dopilnował, by jeszcze raz wszystko się rozsypało!

- Chciałaś powiedzieć, że Giles dopilnował - zauważyła Angela.

Leonie przytaknęła i podniosła się z pewnym trudem z krzesła. Stała teraz pośrodku pokoju i z ponurą miną masowała sobie nadwerżone plecy.

Poprzedniej nocy nie spała najlepiej. Dlatego, że wciąż analizowała wszystko, co jej powiedział Giles, ale także i dlatego, że dziecko było już bardzo żywotne i silnie kopało przez całą noc.

- Wydaje mi się, że on wpadł na ten pomysł z małżeństwem dopiero po tym, jak mu powiedziałam, że przeprowadzam się do mieszkania Andrew - wyznała zmęczonym głosem. - Nie wierzy, że Andrew nie jest mną zainteresowany i podejrzewa, że mogę się z nim związać. - Z ponurym wyrazem twarzy przesunęła ręką po swojej ciężkiej sylwetce. - Tak, jakby w ogóle ktokolwiek mógł się mną teraz interesować. Który mężczyzna spojrzałby na mnie, skoro wyglądam jak nadmuchany balon?

- A w co zamierzasz się ubrać na ślub? - zapytała z nagłym zainteresowaniem Angela, pomijając retoryczne pytanie przyjaciółki.

Leonie zaśmiała się krótko i spojrzała na nią z ironią, nie pozbawioną jednak pewnej tkliwości. Tylko Angela mogła w takich okolicznościach zastanawiać się nad kreacjami.

- To jest naprawdę ostatnia rzecz, o której bym myślała. Zresztą i tak nikt się nie będzie stroił. Jeśli w ogóle ktokolwiek się pojawi.

- Ja przyjdę! - obruszyła się Angela. - I możesz liczyć na to, że się specjalnie ubiorę!

- Naprawdę mi przykro, ale nie mogę cię zaprosić. Giles zapowiedział, że nie życzy sobie przyjaciół. Tylko najbliższa rodzina.

Zresztą i tak niewiele stracisz. To nie jest przecież prawdziwy ślub, tylko zwykła blaga. Kontrakt prawny. Przypuszczam, że Giles będzie chciał się z tego wyplątać najszybciej, jak to możliwe, więc dokłada wszelkich starań, aby prawie nikt o tym nie wiedział.

- No, na pewno nie może zabronić mi przyjścia na twój ślub - powiedziała wyzywająco Angela. - A co zamierza zrobić potem? Ukryć cię gdzieś do czasu narodzin dziecka?

Leonie zbladła. Do tej pory nie myślała jeszcze o tym, co będzie „potem”. Zastanowiła się nad tym dopiero teraz i nie była zachwycona perspektywą przyszłości. Pytania tłoczyły się jej w głowie, a Angela zaczęła stawiać je na głos -- w swój, jak zawsze praktyczny i bezpośredni sposób:

- Gdzie na przykład będziecie mieszkać? W Warlock House, z tą starą matroną? I co masz na myśli mówiąc: „nieprawdziwy ślub”? Czy w ogóle nie zamierzacie żyć jak mąż i żona?

Leonie nie wiedziała. Mogła tylko potrząsać głową i bezradnie wzruszać ramionami. Angela popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Naprawdę straciłaś rozum, jeśli godzisz się na to wszystko! - orzekła i Leonie absolutnie się z nią zgadzała.

Musi być szalona poślubiając mężczyznę, który nie tylko jej nie kocha, ale nawet nie lubi. Jakże często miała wrażenie, że on jej wręcz nienawidzi. W szarych oczach Gilesa czaił się mrok. Coś dzikiego, gwałtownego i groźnego. Widziała to od pierwszej chwili, odkąd się tylko poznali. Zawsze była tego świadoma.

Złowróżbne napięcie towarzyszyło im, ilekroć byli razem. Przerazały ją niezrozumiałe, a silne odczucia, którymi reagowała na jego fizyczną bliskość. Była w stanie opierać się im, dopóki nie widywała się z nim zbyt często. I teraz, na myśl, że ma zostać jego żoną, ogarniał ją paniczny lęk. Giles Kent... Miała być zdana na jego litość i łaskę...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pobrali się trzy tygodnie później. Była to nijaka, cywilna ceremonia, która skończyła się tak szybko, że Leonie miała wrażenie, jakby to był jakiś krótki, nerwowy sen.

Wszystko było takie praktyczne, funkcjonalne i przerażająco banalne. Miała na sobie kremową wełnianą garsonkę, a Giles ubrany był na szaro. Żadne z nich ani razu się nie uśmiechnęło. Mówili półgłosem i wykonywali wszystkie przepisowe czynności dokładnie tak, jak im kazano - nawet na siebie nie patrząc.

Z tyłu za nimi, w rzędzie, stała garstka ludzi. Jego matka, jego siostra z mężem, matka Leonii, Angela i Andrew. Było tak cicho, że Leonie słyszała ich oddechy i to mimo szumu padającego deszczu.

Pogoda tego dnia doskonale pasowała do nastroju całej uroczystości. Londyn w deszczowe dni wyglądał idealnie ponuro - miasto było przygnębione i działało przygnębiająco na swoich mieszkańców. Szaroniebieskie dachy wysokich biurowców lśniły wilgocią, bezlistne drzewa kuliły się z rezygnacją pod kolejnymi atakami zimowego wiatru, a zgarbieni przechodnie chronili się w przedsionkach domów albo pośpiesznie przebiegali po oślizgłych chodnikach. Wszystkiemu towarzyszył chlaszczący odgłos opon na mokrych szosach i bulgot wody w rynnach.

Nie było żadnego przyjęcia weselnego. Giles zawyrokował, że w tych okolicznościach byłoby to zupełnie bez sensu. Po ceremonii błyskawicznie porwał ją i zdążyła wymienić z obecnymi tylko kilka grzecznościowych uwag. Właściwie była mu za to nawet wdzięczna, choć nie godziła się z jego despotycznym założeniem, że on wydaje jej rozkazy, a ona ma je potulnie spełniać.

- Cóż za okropna pogoda, nieprawdaż? - powiedziała jego siostra, usiłując nie patrzeć na Leonie.

Nie widzieli jej od śmierci Malcolma i choć wszyscy wiedzieli, że spodziewa się dziecka, szokował ich tak ewidentny tego przejaw.

- Musieliście mieć mnóstwo kłopotów z dojazdem tutaj? -

zapytała Leonie, nie dbając zupełnie, czy Linda jej odpowie czy nie.

Cóż jeszcze można było powiedzieć, o co zapytać? To, co naprawdę myślała, nie było dla nich przeznaczone.

Powiedziała coś do pani Kent i usłyszała odpowiedź, lecz ich oczy ani razu się nie spotkały. Może obie myślały o innym ślubie, tym, który nigdy się nie odbył. Gdybyż stało się inaczej... Wszystko byłoby wtedy takie piękne... Zamiast pośpiesznej wymiany nic nie znaczących słów w obskurnym urzędzie - święty rytuał: panna młoda w bieli, kościół, muzyka organów, tłumy roześmianych gości i pan młody czekający przy ołtarzu, i wiara, nadzieja, miłość... A teraz... Jak mogła spojrzeć w oczy matce Malcolma, skoro obie myślały o czymś, co już nigdy się nie wydarzy?

Leonie zauważyła ze smutkiem, że pani Kent jest blada i przeraźliwie mizerna. Śmierć Malcolma wysączyła życie również z jego matki. Wyglądała, jakby była o co najmniej dziesięć lat starsza.

Podbiegła Angela, przecierając wilgotne oczy. Leonie też z trudem powstrzymywała łzy i odwróciła się szybko do Andrew, aby uścisnąć mu rękę. Andrew wymamrotał jakąś krótką formułkę grzecznościową, którą dziewczyna przyjęła z ponurą miną. Leonie wciąż czuła zbyt wielki żal do swojej matki, aby móc teraz z nią rozmawiać. Martha Priestley stała więc sama i rzucała wokół tryumfalne spojrzenia. Też była zdenerwowana, ale z egzaltacji i zachwytu. Przyszła tu, by zobaczyć na własne oczy, jak jej córka wchodzi w bardzo bogatą rodzinę. Czuła się więc tak, jakby u ramion rosły jej skrzydła. Oczywiście wyglądała znakomicie: jasne włosy spięte w kunsztowny kok, na twarzy idealny makijaż, szczupła sylwetka spowita w koralowy jedwab, a na głowie biały, jedwabny kapelusz, z delikatną woalką opadającą na oczy.

Leonie nie miała wątpliwości, że kreacja jej matki kosztowała fortunę i że Martha dopilnuje, aby Giles zapłacił również i za to. Było to poniżające i dziewczyna czuła do niej teraz tylko chłodną nienawiść.

- Wychodzimy - powiedział Giles, zanim zdążyła podjąć decyzję, czy ma publicznie ignorować swoją matkę, czy nie.

W chwilę potem wychodziła już z sali ślubów trzymana pod rękę przez obserwującego ją bacznie męża.

Na zewnątrz czekała na nich lśniąca, szara limuzyna. Giles pomógł jej usiąść i wsunął się obok.

Ruszyli szarymi, londyńskimi ulicami, wilgotnymi od wciąż lekko mżącego deszczu.

Odsunęła się do tyłu i przyknęła ze znużeniem powieki. Była szczęśliwa, że wreszcie uciekła od konieczności ciągłego uśmiechania się i udawania. Giles siedział obok, najwyraźniej też odprężony. Wysoki, szczupły mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze, z białą chusteczką wystającą z butonierki. Ta chusteczka, to była jedyna zewnętrzna oznaka, że właśnie się pobrali, że dzieje się coś uroczystego. Milczał. Leonie ledwo mogła dosłyszeć jego oddech.

Po pewnym czasie otworzyła oczy.

- Gdzie jedziemy? - rzuciła nerwowo, starając się na niego nie patrzeć.

- Do domu - powiedział Giles.

Przez chwilę nie była pewna, co miał na myśli.

- Do domu? - powtórzyła bezwiednie.

- Do Warlock - odpowiedział.

Przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. On może sobie nazywać Warlock House domem, ale ona nigdy nie była w nim gościem mile widzianym. Spotykała tam tylko wrogość rodziny Kentów i zawsze miała wrażenie, że i sam dom też nie chce jej przyjąć.

Giles spojrzał na nią ponuro.

- Teraz jest to również i twój dom - powiedział szorstko.

W jego głosie słyhać było złość i Leonie dobrze wiedziała, dlaczego. Giles był wściekły, że musieli się pobrać. Nie mógł znieść myśli, że właśnie wiezie ją do tego domu, do czcigodnego Warlock, jako swoją żonę.

Wzdrygnęła się.

- Nie, nigdy... To nie jest mój dom. Nasze małżeństwo jest tylko szalonym wybrykiem. Prawną fikcją. Nie jest prawdziwe!

- Nie próbuj się oszukiwać! - parsknął Giles. - Innych też nie! Nie próbuj nikogo wprowadzać w błąd. Na przykład tego faceta, Colpitta. Widziałem, jak na ciebie dziś patrzył. A ty o mało co nie wybuchnęłaś płaczem, kiedy wziął cię za rękę. Jeśli kiedykolwiek pokaże się w Warlock, poszczuję go psami. Zapamiętaj sobie: nasze małżeństwo jest jak najzupełniej prawdziwe. Jesteś moją żoną i będziesz nią tak długo, jak ja zechcę!

Ciemny rumieniec zaskoczenia pokrył jej zmęczoną twarz.

- O czym ty w ogóle mówisz? Andrew? On przecież nie jest moim... my nie...

- Jeszcze nie? - zapytał cynicznie Giles i nagle, bez ostrzeżenia, chwycił jej podbródek, obrócił twarzą do siebie i spojrzał gniewnie w szeroko otwarte, błyszczące oczy dziewczyny. - Następny facet w rodzaju Malcolma, co? Taki, którego od razu można polubić, po prostu ładny i czarujący jak maskotka! Nie wierzyła własnym uszom.

- Andrew nie dorównuje Malcolmowi! - wykrzyknęła. Jak on mógł tak pomyśleć! - Malcolm był dużo przystojniejszy i w ogóle, no, był zupełnie inny... - próbowała tłumaczyć, ale różnica między tymi dwoma mężczyznami polegała przede wszystkim na czymś zupełnie innym. - Andrew... on jest poważnym, bardzo opiekuńczym człowiekiem... - zaczęła i urwała. Malcolm... Nie chciała, żeby zabrzmiało to jak krytyka, ale on był lekkoduchem i czasami nawet trochę egoistą. Tak... Andrew jest prawdopodobnie dużo bardziej wartościowym człowiekiem. Choć oczywiście nie tak kochanym jak Malcolm.

Giles ze złością zanurzył wzrok w błękitnych oczach Leonie, jakby chciał wydrzeć z nich jej najgłębiej ukryte myśli.

- Wciąż o nim myślisz, prawda? - warknął wściekle i Leonie znów zbladła.

- Nie mówmy już o tym! To nie pora, ani miejsce, żeby rozmawiać o Malcolmie!

Wzruszył ramionami, ale dał jej spokój.

- Masz rację. No, w każdym razie pamiętaj, jeśli jeszcze kiedyś zobaczę tego całego Colpitta przy tobie, to nie będę już taki

uprzejmy.

Wsunęła się w najdalszy kąt limuzyny i zaczęła bezmyślnie patrzeć przez okno. Jechali na wschód, z każdą milą przybliżając się do nizinnych pól Essexu.

To, co przed chwilą zostało powiedziane, uświadomiło jej nagle, że jej pamięć o Malcolmie w jakiś niewytłumaczalny, ledwo dostrzegalny sposób zmieniała się. Miłość do niego nie tyle w niej wygasła, co po prostu wyblakła. Zupełnie, jak pozostawiona na słońcu fotografia. Wspominała teraz o nim dużo rzadziej, a gdy pojawiał się w jej myślach, czuła tylko spokojny smutek. Już nie dręczył jej ten bolesny, przeszywający skurcz rozpacz przy każdym wspomnieniu. To właśnie dlatego zbladła, gdy Giles zapytał ją, czy wciąż myśli o Malcolmie. Wstrząsem była świadomość, że może to robić nie czując dławiącego spazmu łez. Poczuli się winna i nie mogła znieść myśli, że Giles o tym wie - na pewno wyczytał to z jej twarzy.

Przygryzła wargi i przypatrywała się znikającym w oddali rzędom szarych domów na przedmieściach Londynu.

Od śmierci Malcolma upłynęło tylko siedem miesięcy! Zamknęła oczy, ogarnięta panicznym wstydem. Jak mogła tak szybko pogodzić się z jego śmiercią? Czy miłość znaczy tak niewiele? Siedem miesięcy i już można zapomnieć?

- Czy dobrze się czujesz? - Giles zapytał cicho i spokojnie, ale mimo to zadrżała.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co?

- Przestraszyłem się, że mogłaś się źle poczuć. Nie wyglądasz najlepiej.

Odetchnęła. Dał już jej spokój z pretensjami.

Był dziwnym człowiekiem i nie potrafiła go zrozumieć, ale gdy mówił tak łagodnie, czuła, że nawet mogłaby go polubić.

- Po prostu jestem trochę zmęczona - powiedziała miękko. - To było raczej nieciekawe doświadczenie. Wiesz, ta cała ceremonia i wszystko...

- Oczywiście - przytaknął. - Wybacz, jeśli wyprowadziłem cię z równowagi, ale przypuszczam, że sam też byłem nieco zdenerwowany.

Westchnęła z ulgą.

- Tak, oboje mieliśmy ciężki dzień.

Reszta drogi upłynęła im w nieco bardziej przyjaznej atmosferze - w zgodnym milczeniu oglądali mijane pola.

Po jakimś czasie wjechali w boczną, polną drogę i w oddali zamajaczył potężny, ciemny kształt Warlock House. Leonie poczuła suchość w gardle. Wszystkie dotychczasowe wizyty w tym domu nie były zbyt przyjemne. Nie wiedziała, czy w ogóle potrafi znieść życie pod jednym dachem z Gilesem i jego matką.

Czuła się zagubiona i niepewna. Wszystko odbyło się tak szybko. Przez ostatnie tygodnie prawie nie widywała się z Gilesem i właściwie nie rozmawiali o tym, co będzie po ślubie. Z jego słów można było wywnioskować, że po urodzeniu dziecka sporządzą jakąś umowę, może unieważnienie małżeństwa, a na pewno ogłoszą separację. On, oczywiście, będzie prawnym opiekunem dziecka, które jednak pozostanie z nią. Ponadto Leonie miała niesprecyzowane plany znalezienia osobnego mieszkania, pracy i kogoś do opieki nad dzieckiem. Nawet przez chwilę nie myślała o tym ślubie, jako o czymś rzeczywistym. Była to prawna fikcja, dzięki której on będzie miał większą władzę, jako egzekutor testamentu Malcolma. Nigdy by się nie zgodziła na to małżeństwo, gdyby jej nie szantażował. Wcale nie czuła się teraz tak, jak powinna czuć się szczęśliwa panna młoda.

Zerknęła na niego kątem oka. Patrzył prosto przed siebie, zagłębiony we własnych myślach. Zmarszczone, czarne brwi i mocno zarysowana linia twardych szczęk. Dopiero teraz po raz pierwszy dotarło do niej, że ten siedzący obok mężczyzna jest jej mężem!

Właśnie gdy o tym pomyślała, Giles odwrócił się i spojrzał na nią. Jakby zdał sobie sprawę, że jest obserwowany. Leonie poczuła, jak jej twarz ogarnął gorący rumieniec. Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy i słyszała głośne, szybkie bicie swego serca. Po chwili

jednak Giles odwrócił wzrok i powiedział obojętnie:

- Jesteśmy na miejscu.

Z domu pośpiesznie wybiegł jakiś mężczyzna zapinając nerwowo czarny uniform. Otworzył drzwi limuzyny i troskliwie, jakby Leonie była ciężko chora, pomógł jej wysiąść.

- Witamy panią w domu - powiedział z grzecznym uśmiechem na szczupłej twarzy i spojrzał niepewnie na Gilesa.

Leonie z niepokojem zaczęła się zastanawiać, co też Giles powiedział tutejszym ludziom o niej i o całym tym małżeństwie. Wszyscy z łatwością mogli dostrzec jej stan i nie miała wątpliwości, że wzbudza to zaciekawienie. Na myśl o tym aż zaczerwieniła się z przykrości.

- To jest George - powiedział Giles, który stał obok. - On i jego żona prowadzą teraz nasz dom. George, czy Marjorie czeka wewnątrz?

- Tak, proszę pana.

- W porządku. Chodź Leonie, poznasz Marjorie. Ujął ją za łokieć i skierował się w stronę drzwi frontowych.

Podążyła za nim z pewnym ociąganiem. Warlock House zawsze napełniał ją grozą. Wchodziła tam z uczuciem nieufności i strachu. Po śmierci Malcolma nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek się tu znajdzie. Tymczasem wstępowała w progi tego domu jako żona Gilesa Kenta. Niewiarygodne, ale prawdziwe.

Pani Kent nie było w Warlock. Poinformował ich o tym George. Pojechała na tydzień do Devon, do swojej córki, aby dać w ten sposób młodej parze nieco samotności.

Leonie przełknęła ślinę, patrząc z zakłopotaniem na Gilesa. Młodej parze? Jej mąż? Giles Kent? Znów poczuła się dziwnie. Zmusiła się do skupienia myśli na teściowej.

Miała nadzieję, iż tym razem pani Kent nie będzie tak wrogo do niej nastawiona, lecz pewności mieć nie mogła. Wszystko zależy, jak teściowa ustosunkuje się do swego wnuka. Jeśli Giles miał rację, to dla dobra dziecka gotowa była przyjąć Leonie z otwartymi ramionami. Jeśli jednak się mylił, życie w tym domu będzie nie do

zniesienia.

- O, tu jesteś, Marjorie - zawołał Giles do pośpiesznie podbiegającej ku drzwiom kobiety.

Leonie drgnęła, wyrwana ze swych myśli, i postanowiła skupić uwagę na tym, co się aktualnie wokół niej działo.

Żona George'a, Marjorie, była pulchną, schludną kobietą o przemiłych, błękitnych oczach. Mogła mieć jakieś czterdzieści lat.

- Och, proszę wybaczyć. Nie byłam przy drzwiach, aby państwa powitać - powiedziała z ciepłym uśmiechem. - Kiedy usłyszałam podjeżdżający samochód, byłam na górze i kończyłam przygotowywać pokój dla pani.

- Ależ nic nie szkodzi - nieśmiało wyszeptała Leonie i podała jej dłoń na powitanie.

- Mam nadzieję, że wszystko potoczyło się jak należy? - Marjorie spojrzała niepewnie na Gilesa.

- To znaczy, mam nadzieję, że był to udany ślub - speszyła się, widząc jego ironiczne spojrzenie. - I, oczywiście, moje gratulacje... wszystkiego najlepszego na przyszłość...

- Dziękuję, Marjorie, to bardzo miło z twojej strony. A teraz pokaż mojej żonie jej pokój. Jest bardzo zmęczona i chciałaby odpocząć przed obiadem.

- Zerknął na Leonie. - Spotkamy się tu za pół godziny, dobrze?

- Dobrze - powiedziała znużonym głosem i podążyła za Marjorie po schodach.

Giles obiecał, że ich związek będzie tylko oficjalny i nie będą dzielić jednej sypialni. Z ulgą przekonała się, że dotrzymał słowa. Jednocześnie jednak czuła wstyd na myśl, że wszyscy będą wiedzieli, iż śpią oddzielnie. Chociaż w jej aktualnym stanie nie było to chyba aż tak niespotykane - próbowała się pocieszać.. Nie powinni się dziwić. Ostatecznie, spodziewa się dziecka. Spojrzała ukradkiem na Marjorie i przygryzła usta. Co też ta kobieta może sobie myśleć? Może lepiej jednak nie wiedzieć.

Marjorie otworzyła szeroko drzwi do pokoju i z wyrazem dumy na twarzy przepuściła Leonie. Dziewczyna weszła i natychmiast

wyrwał jej się spontaniczny okrzyk zachwyty:

- Och! Ależ tu jest uroczo!
- Cieszę się, że się pani podoba - rozpromieniła się Marjorie.

Trudno było nie dostrzec, że gospodyni naprawdę się starała urządzając pokój. Był nieskazitelnie czyściutki i pachniał różami, których olbrzymi bukiet stał na stoliku tuż obok szklanej czary, pełnej różnokolorowych owoców. Cały pokój urządzony był w wiosennych kolorach zieleni i złota. Antyczne, dębowe meble, głównie w stylu secesyjnym, miały miodowy odcień i były tak wypolerowane, że wszystko odbijało się w nich jak w lustrze.

- Za tymi drzwiami jest łazienka - powiedziała Marjorie.

Wyposażenie łazienki było również w kolorach zieleni i miodu. Podłogę, tak samo jak w sypialni, pokrywał cudownie puszysty, kremowy dywan. Okna zasłonięte były zielonożłocistymi, perkalowymi firankami. Wiszące nad wanną, ciężkie ręczniki ozdobione były ciemnozielonymi inicjałami „K”, a na półce obok stały rzędy buteleczek z kosztownymi kremami, kąpielowymi olejkami i balsamami. W powietrzu unosił się delikatny zapach perfum.

- A oto sypialnia pana Gilesa - gospodyni uśmiechnęła się porozumiewawczo i otworzyła drzwi do następnego pokoju. Leonie poczuła, że robi jej się nagle nieznośnie gorąco i zapragnęła, by Marjorie już sobie poszła.

- Czy życzy pani sobie, by jej coś przynieść? Szklanę herbaty? Mleka?

- Nie, dziękuję - Leonie marzyła tylko o chwili samotności i spokoju.

- No cóż, w takim razie jeszcze tylko przygotuję łóżko i zostawię panią samą.

Zanim Leonie zdążyła zaprotestować, Marjorie ściągnęła z tapczanu kremowo-zieloną kapę i błyskawicznie rozścieliła pościel.

- Zaciągnę też firanki, dobrze?

- Nie, nie, proszę tego nie robić. - Leonie z tęsknotą popatrzyła przez okno na promienie zachodzącego słońca. Deszcz przestał już

padać. Przejaśniało się.

- Dobrze, w takim razie życzę miłego wypoczynku. Marjorie zniknęła za drzwiami i Leonie nareszcie została sama. Stała oszołomiona pośrodku pokoju i rozglądała się niepewnie wokół. Czuła bezradność, niepokój i coraz większe przerażenie.

Od dziś był to jej dom. Spojrzała w wielkie lustro i ogarnął ją pusty śmiech na widok patrzących na nią wielkich, przerażonych oczu. Wciąż muszę tkwić w jakimś paranoicznym śnie - pomyślała. - Wcale nie jestem w domu Malcolma... i to jako żona jego brata. Jak można być żoną kogoś, kto cię nienawidzi? Przyłożyła swe zimne, drżące dłonie do policzków. Przesunęła palcami po brwiach, potem po skroniach i wargach. Dziewczyna w lustrze zrobiła to samo. Leonie wciąż nie wierzyła. Nic z tego wszystkiego nie wydawało jej się realne, włączając w to nią samą. Odwróciła się od lustra i położyła na łóżku. Zamknęła oczy, ale sen nie nadchodził. Nie potrafiła odgonić kłębiących się w głowie, natrętnych myśli. Straciła poczucie czasu. Była jak samotny liść, niesiony rwącym strumieniem rzeki... Co to!?

Odwróciła się z trudem i uderzyła ramieniem w coś, co spadło na podłogę z hukiem tłuczonego szkła. Z okrzykiem przerażenia poderwała się na łóżku, nie rozumiejąc, co się stało. W tym momencie do pokoju wbiegł zdenerwowany Giles.

- Czy nic ci się nie stało? - dopytywał się z niepokojem.

- Przepraszam, stłukłam szklanekę - wyjąkała, próbując się podnieść.

Podbiegł do niej, chwycił ją za ramiona i lekko popchnął na łóżko, po czym sam przykleknął obok.

- Zwariowałaś?! Mogłaś pokaleczyć stopy na tym szkłe!

Drżała.

- Ja... ja sądziłam... nie pomyślałam...

- I w tym problem, że nigdy tego nie robisz - mruknął Giles, przyglądając jej się badawczo. Nie była w stanie oderwać wzroku od jego płonących oczu.

Ogarnęło ją dziwne zmieszanie. Po prostu nie mogła przestać się w niego wpatrywać. Sroga twarz, szare oczy - tym razem wcale nie

wyglądające zimno - i twarda linia ust mających w sobie tyle zaborczego uroku...

- Trzeba sprzątnąć szkło, zanim ktokolwiek się o nie pokaleczy - usłyszała jego przytłumiony głos.

- Tak - szepnęła.

Boże, musi przestać tak się w niego wpatrywać. Musi uporządkować swoje myśli. Cóż się z nią, u licha, dzieje? Nie mogła opanować gwałtownego bicia serca. Tłukło się w niej jak oszalałe. Łomotało tak silnie, że prawie traciła przytomność.

Giles patrzył na nią w dziwnym napięciu. Jego oczy błyszczały dziko i tym razem Leonie wiedziała, że nie był to gniew, tylko ta sama, nagła, obezwładniająca namiętność, która paraliżowała jej ciało. Pragnął jej tak samo silnie, jak ona pragnęła jego! Wpatrywał się w jej usta i Leonie poczuła, jak palą i pieką ją wargi, jak powoli zaczynają się rozchyłać.

Była przerażona.

Mocno wciągnęła powietrze.

- Lepiej zawołajmy Marjorie - powiedziała głośno i zobaczyła błysk gniewu w jego oczach.

Oderwał od niej wzrok, wstał i stanął obok łóżka, omijając potłuczone szkło.

- Tak - powiedział szorstko.

Potem podniósł słuchawkę telefonu i coś powiedział, ale Leonie była tak oszołomiona, że nic nie zrozumiała.

- Będzie tu za chwilę - oznajmił, odkładając słuchawkę. Jego usta wykrzywiły się w chłodnym, sarkastycznym grymasie i dodał: - Możesz przestać się trząść, jesteś już zupełnie bezpieczna!

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając Leonie bliską łez.

Mieszkać pod jednym dachem z Gilesem Kentem to tak, jakby próbować urządzić sobie życie na krawędzi wulkanu. Jak, na litość boską, uda się to przetrwać?...

Podczas obiadu Giles odnosił się do niej z uprzejmym dystansem. Traktował ją jak gościa i Leonie przyjęła ten wzór wzajemnego odnoszenia się do siebie z cichą wdzięcznością. Była uprzejma,

unikająca jakichkolwiek poufałości i starała się nie napotkać jego wzroku. Kiedy godzinę później poszła do swojego pokoju, Giles otworzył przed nią drzwi z ironiczną miną.

- Idziemy uciąć sobie małą drzemkę? No to miłych snów.

Leonie udała, że nie słyszy ironii w jego słowach i całe popołudnie spędziła u siebie na górze.

Kolacja była powtórzeniem obiadu. Rozmawiali uprzejmie, grzecznie i bezosobowo. Po kolacji rozstali się w ten sam sposób.

Wzorzec ich wzajemnych stosunków ustalony został bardzo szybko. Codziennie rano spotykali się na śniadaniu, potem jechali na godzinną przejażdżkę, aby poznać okolice Essexu i wracali w porze obiadowej. Po obiedzie Giles nalegał, żeby Leonie poszła do siebie na górę „odsapnąć nieco”, a o zmroku spożywali wspólnie lekką kolację. Przed snem, a Leonie kładła się dość wcześnie, zawsze jeszcze trochę przesiadywali w bawialni, słuchając muzyki lub oglądając telewizję.

Giles traktował ją z chłodną obojętnością i uprzejmą troską. Podczas posiłków i przejażdżek rozmawiali na luźne i niezobowiązujące tematy. Poznawali się coraz lepiej i często ją zaskakiwał. Mieli ze sobą więcej wspólnego, niż kiedykolwiek by się tego spodziewała. Lubili te same książki, te same filmy, tę samą muzykę. A przynajmniej zawsze znajdowało się coś, o czym mogli swobodnie porozmawiać.

Czasami jednak ich oczy spotykały się i wtedy Leonie czuła, jak oblewa ją fala gorąca. Szybko odwracała twarz.

W takich momentach w jego zimnych, szarych oczach na powrót błyszczała drwina. Zdawał sobie sprawę, jak jego fizyczna obecność działa na nią i - to było naprawdę niepokojące. Leonie wiedziała, że Giles jej pragnie, ale nie potrafiła zrozumieć, co nim kierowało. Czyżby chęć zemsty? Czy wciąż nienawidził jej za to, że musiał ją poślubić?

Pod koniec tygodnia Leonie nie mogła już doczekać się powrotu pani Kent. Wciąż obawiała się tego spotkania, lecz sądziła, że życie stanie się nieco łatwiejsze, gdy nie będzie musiała być ciągle sama z Gilesem. Miała też nadzieję, że wraz z powrotem pani Kent zakończy

się udawanie, że jest to prawdziwy miodowy miesiąc i Leonie będzie mogła wrócić do pracy, a może nawet nieco się odprężyć...

Pani Kent przyjechała późnym wieczorem pewnego zimnego, wietrznego dnia. Narzekała na ból głowy po długiej podróży i od razu położyła się do łóżka.

Następnego dnia rano Giles wyszedł do pracy, zanim jeszcze Leonie wstała, więc przy śniadaniu miała towarzyszyć tylko teściowej. Gdy właśnie skończyła jeść, starsza pani zeszła do jadalni. Zatrzymała się w drzwiach, jakby zaskoczona widokiem dziewczyny, po czym mruknęła: „dzień dobry” i usiadła naprzeciwko. Nalała sobie trochę soku pomarańczowego, wypila, wzięła kromkę chleba i w milczeniu zaczęła nakładać sobie cienką warstwę marmolady.

Optymizm Leonie ulotnił się bez śladu. A więc to tak właśnie miało wyglądać? Ponura cisza, wrogość i izolacja? Dziewczyna nie wierzyła, że w ogóle będzie w stanie znieść coś podobnego.

Po chwili jednak pani Kent spojrzała na nią, marszcząc czoło.

- Leonie... - zaczęła, ale przerwała i westchnęła ciężko.

- Tak? - Leonie patrzyła jej w oczy z błagalnym napięciem.

Życie w tym domu stanie się koszmarem, jeśli nie tylko Giles, ale również i jego matka będą jej wrogami.

- Leonie - jeszcze raz zaczęła pani Kent i nagle ujęła drżące dłonie dziewczyny w swoje ręce. - Mój Boże, kochanie, nie patrz na mnie w ten sposób. Jest mi tak wstyd... Byłam dla ciebie nieuprzejma, tak bardzo tego żałuję. Gdyby było inaczej, ty i Malcolm pobralibyście się od razu i wtedy może on nie pojechałby w tę podróż, i... - głos jej się załamał, lecz po chwili dodała cicho: - Ale teraz, cóż z tego? Czasu nie da się cofnąć.

Łzy zaczęły spływać jej po zapadłych policzkach.

- Proszę... niech pani nie płacze, niech pani nie płacze - szeptała przerażona dziewczyna.

Pani Kent puściła dłonie Leonie, by przesunąć ręką po swej zmęczonej twarzy.

- Tak, masz rację, nie wolno nam płakać nad czymś, czego nie jesteśmy w stanie zmienić - powiedziała zduszonym głosem. - Przed

nami przecież przyszłość... Tak, tylko to ma teraz znaczenie. Dziecko, jego dziecko. Gdy Giles mi powiedział... Och, to był cud. Wszystko się zmieniło. Moje życie znów nabrało sensu.

- Wyciągnęła małą chusteczkę i wytarła oczy, po czym zdołała przywołać na twarz blady uśmiech. - Jeśli to będzie chłopiec, nazwiesz go Malcolm, prawda?

- Tak, mam taki zamiar - zgodziła się Leonie. Ogarnęło ją jednak nieprzyjemne zakłopotanie. Co będzie, jeśli pani Kent stanie się nazbyt zaborcza w stosunku do dziecka? Leonie nie była agresywna, miała na to zbyt łagodną naturę, jeśli jednak teściowa okaże się jakimkolwiek zagrożeniem dla jej praw matki, była zdecydowana nie ustąpić. To było jej dziecko i nie zamierzała oddawać go nikomu.

Dwa dni później Leonie spacerowała sobie bez troski po ogrodzie, gdy nagle poczuła dziwny ucisk w plecach. Mocno wciągnęła powietrze. Nie, to nie mogło być dziecko, miała rodzić dopiero za dziesięć dni! Ale kłujący ból wzmógł się. Odczekała chwilę, masując się cierpliwie po krzyżu i ból jakby odszedł. Fałszywy alarm? Powoli zaczęła iść w stronę domu. Czas przygotować się do obiadu.

Kolejny ból złapał ją, gdy stała nad umywalką i myła ręce. Tym razem nie miała wątpliwości, co to było. Z zatroskaniem spojrzała na zegar. Cóż, na pewno nie stanie się to natychmiast – pomyślała - bóle następują w zbyt dużych odstępach czasu. Postanowiła, że zje spokojnie obiad i poczeka, aż bóle się wzmogą i będą bardziej regularne. Nie ma sensu jeszcze jechać do szpitala, a tym bardziej alarmować teściowej. Leonie obawiała się, że gdy nadejdzie czas porodu, ogarnie ją panika - tymczasem czuła się zaskakująco spokojna i odprężona. Zjadła lekki obiad, po czym wróciła do sypialni i położyła się na łóżku. Była zadowolona, że nikt jeszcze nie wie, co się z nią dzieje. Mogła w spokoju, bez grona gapiów, stawiać czoło swoim bólom. Tym bardziej, że nie były jeszcze dotkliwe. Poza tym, mogła też nareszcie wykorzystać umiejętności, zdobyte na lekcjach oddychania, na które przecież tak pilnie uczęszczała.

Po czterech godzinach powiedziała teściowej, że nadszedł czas porodu.

Pani Kent wpadła w panikę. Zaczęła się trząść, zbladła i ledwo była w stanie wykręcić numer szpitala, aby powiadomić, że Leonie jest właśnie w drodze. Potem łamiącym się głosem zawołała George'a, aby odwiózł je do szpitala.

- Bo ja jadę z wami! - wykrzyknęła, pomagając Leonie wstać z krzesła. - Będzie ci potrzeba trochę otuchy!

Dziecko urodziło się o dziewiątej wieczorem, tego samego dnia. Chłopiec ważył dokładnie cztery kilogramy.

Niestety, pani Kent nie mogła być świadkiem narodzin syna Malcolma. Babcie nie mogą być obecne przy porodach.

- Ależ to mój wnuk! - protestowała, purpurowa z oburzenia.

- Jeszcze nie wiemy przecież, czy to chłopiec czy dziewczynka, prawda? - powiedziała ostro pielęgniarka. - Przykro mi, ale nie mogę łamać zasad dla nikogo. To jest szpital, nie teatr. Tylko ojcowie!

Pani Kent wyglądała, jakby nie dowierzała własnym uszom.

Leonie też była nieco przerażona tym całym zamieszaniem, lecz nie zdążyła się dowiedzieć, jaki będzie finał kłótni, bo właśnie przyszła położna i ostrożnie poprowadziła ją z poczekalni na salę.

To Giles powiedział Leonie, że urodziła syna.

Przyjechał w godzinę po tym, jak została odprowadzona na salę porodową i był tam, ku jej przerażeniu i zdziwieniu, przez cały poród. Nie spodziewała się go. Jakoś nie bardzo pasował do tego otoczenia. Miał na sobie jeden ze swoich nieskazitelnych garniturów, kremową jedwabną koszulę i szary krawat. Wyglądał oficjalnie i elegancko. Zupełnie jakby się urwał z choinki - pomyślała Leonie - wpatrując się w niego z wściekłością. Musi mu powiedzieć, żeby, na litość boską, już sobie poszedł stąd, bo ona wygląda strasznie i nie chce, aby oglądał ją w takim stanie...

- Pan jest mężem? - zapytała w tym momencie położna i ogarnęła Gilesa zachwyconym spojrzeniem.

- Tak, co mogę zrobić, żeby pomóc?

Był zupełnie spokojny. Ku bezgranicznemu zdumieniu Leonie, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat, podwinął rękawy koszuli i przejął rolę chwilowo zajętej położnej, która przyjmowała dziecko w sąsied-

niej kabinie.

To Giles delikatnie przecierał chłodną gąbką mokrą od potu twarz Leonie. Giles uspokajająco do niej przemawiał w przerwach pomiędzy spazmami bólu i pomagał jej odliczać oddechy, gdy ból powracał. Giles trzymał ją za rękę podczas ostatniego etapu i to właśnie on powiedział w końcu cicho:

- Masz syna, Leonie. Cudownego, małego chłopca... Leżała z zamkniętymi oczami, zupełnie wyczerpana.

Była słaba i powoli odpływała w sen. Ale na dźwięk jego głosu poderwała się z radosnym ożywieniem.

- Chłopiec? Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć!

- Zobaczy go pani, ale później. Na dzisiejszą noc został przeniesiony na salę noworodków.

Słowa położnej przejęły Leonie paniczną obawą.

- Dlaczego tak od razu? Dlaczego nie mogę go zobaczyć? Czy coś poszło nieprawidłowo? Proszę mi powiedzieć...

- Jest zdrowy, wszystko poszło jak trzeba - powiedział szybko Giles.

- Absolutnie normalna procedura. I pani, i dziecku potrzebny jest teraz odpoczynek. Zawsze tak się robi.

- Ale ja go nawet nie widziałam! Proszę przynieść go z powrotem!

- Na wszystko przyjdzie czas. Na razie proszę odpoczywać - powtarzała spokojnie położna, przyzwyczajona do takich reakcji.

Giles zrobił uroczystą minę, pochylił się nad Leonie i szepnął uspokajająco:

- Widziałem go. Przysięgam, wszystko jest naprawdę w porządku. Ma mnóstwo włosków i już są czarne. Będzie bardzo wysoki, tak myślę. Jego nóżki wyglądały na długie i mocne. Prawdziwy Kent.

- Zupełnie, jak jego ojciec - powiedziała młoda położna i przesłała Gilesowi zachwycone spojrzenie. Był ojcem, jakich uwielbiała mieć przy porodach: pojętnym i znającym się na rzeczy. Naprawdę. Opiekował się swoją żoną aż do czasu, kiedy fachowa

pomoc była rzeczywiście potrzebna. No, a przede wszystkim, jakże miło było sobie na niego popatrzeć! Ciemnowłosy, wysoki, długonogi i ten czarujący uśmiech...

Leonie napotkała oczy Gilesa i znów zobaczyła w nich błysk kpiącej ironii. Położna mówiła o nim, lecz oni oboje myśleli o Malcolmie. I wtedy on uśmiechnął się do niej.

- Tak - powiedział z lekkim grymasem na spokojnej twarzy. - Zupełnie, jak jego ojciec.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Był mroźny, grudniowy świt. Nie wiedząc dlaczego, Leonie przebudziła się nagle z głębokiego snu. Natychmiast uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Jej synek spał tuż obok, w pokoiku dzieciennym. Pokoik dziecienny został odnowiony podczas ich pobytu w szpitalu i był prezentem-niespodzianką od pani Kent. Zresztą babcia, z godną podziwu pomysłowością, wynajdywała coraz to nowe sposoby wyrażania swej miłości do wnuka. Każdego dnia odwiedzała ich w szpitalu. Przychodziła obładowana mnóstwem zabawek i ubranek dla dziecka oraz kwiatami i czasopismami dla Leonie. A gdy wrócili do Warlock House, w pokoiku dzieciennym - wymalowanym na biało i ozdobionym zwierzątkami w pastelowych kolorach - już czekała umundurowana „pomoc do dziecka”.

- Ależ ja wcale nie chcę, żeby miał opiekunkę! Sama chcę się nim zajmować! - zaprotestowała od razu Leonie.

- Ależ oczywiście, że chcesz - gorliwie przytaknęła pani Kent - i naturalnie będziesz, ale dzieci to odpowiedzialność przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zobaczysz, będziesz jeszcze wdzięczna, że masz pomoc. Moje dzieci też miały nianię. Była z nami przez długi czas i naprawdę nie wyobrażam sobie życia bez niej.

- Pamiętam, jak Malcolm o niej mówił - przyznała Leonie i pani Kent uśmiechnęła się. Od czasu narodzin wnuka już nie odnosiło się wrażenia, że każde wspomnienie o zmarłym synu przynosi jej ból, ale jej miłość do Malcolma pozostała wciąż żywa.

- Cóż, kochanie, Malcolm był najmłodszy, więc byli ze sobą najdłużej - powiedziała pani Kent, po czym dodała z westchnieniem: - I przypuszczam, że go rozpieściła. Zresztą robiłyśmy to obie. Ważne, że go kochała. Gdy szukałam opiekunki dla Mała, też upewniłam się, że będzie to ktoś, kto kocha dzieci.

- Ta dziewczyna, Susan Brown, ma bardzo wysokie kwalifikacje - wtrącił Giles rzeczowym tonem. - Niezależnie od tego, czy kocha dzieci, czy też nie, była w dobrej szkole pielęgniarstwa i sprawia

wrażenie rozsądnej i odpowiedzialnej osoby. Możesz jej zaufać, Leonie. Poza tym, pozwól sobie przypomnieć, że planujesz zostawić Mała z kimś, gdy już wrócisz do pracy. Nie rozumiem więc, po co te ceregiele.

Leonie aż fuknęła ze złości.

- Chcę z nim spędzać tak dużo czasu, jak to tylko możliwe! Nigdy nie zamierzałam powierzać go opiekunce od razu i na cały dzień!

- Możesz ustalić z Susan, cokolwiek ci się spodoba - odrzekł Giles, wzruszając ramionami. - Ona zapewne też będzie czasami chciała mieć wolne. Nie zatrudnimy jej przecież przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i przez siedem dni w tygodniu. Jestem pewien, że z radością pozwoli ci się opiekować dzieckiem, kiedy tylko będziesz miała na to ochotę. Uzgodniłem z nią, że soboty i niedziele będzie mieć wolne. Będzie pracowała przez pięć dni w tygodniu, z przerwą w ciągu dnia i kilkoma wieczorami dla siebie. Ostateczna decyzja należy, oczywiście, do ciebie.

- Wygląda na to, że i tak zdecydowałaś już o wszystkim - mruknęła z przekorą Leonie.

- Na pewno ją polubisz, kochanie - zapewniała pani Kent. - To bardzo miła dziewczyna.

I tak też się stało. Zresztą, na szczęście, nie sposób było nie lubić Susan. Schludna, o jasnych, kręconych włosach i spokojnych, niebieskich oczach, miała ciepłą, przyjazną naturę i, co najważniejsze, od samego początku oczywistym było, że po prostu uwielbia małego Malcolma. Leonie nie potrafiłaby nie lubić kogoś, kto ubóstwiał jej synka. Jeszcze tego samego dnia doszły ze sobą do pełnego porozumienia i opracowały wspólny plan opieki nad Małym: Leonie będzie pilnowała go rano, Susan po południu, a wieczorami i w nocy na zmianę. Oczywiście, wszystko było tymczasowe.

- A gdy zacznę pracę, ustalimy nowy plan, wiesz, wygodny dla nas obu - obiecała Leonie i Susan spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Jak to, wraca pani do pracy?

- Prawdopodobnie. Ale jeszcze nie jestem pewna, kiedy.

- A co pani robi? Na pewno coś fascynującego.
 - Byłam sekretarką.
 - Aha, zapewne jakiejś bardzo ważnej osobistości? Musiała pani mnóstwo zarabiać? - dziewczyna była wyraźnie zaskoczona, a szczególnie, gdy Leonie pokręciła przecząco głową.
 - Ależ nie, nie było to nic nadzwyczajnego. Nie zarabiałam dużo. Susan patrzyła z niedowierzaniem.
 - Czemu mi się tak przyglądasz? - zaśmiała się Leonie.
 - Cóż, gdybym była na pani miejscu, na pewno wolałabym zostać w domu - powiedziała bez ogródek. - Ma pani cudowny dom, wspaniałe dziecko, no i takiego męża!
 - Lubię być niezależna - ucięła Leonie, lekko poirytowana.
- Nigdy by się do tego przed sobą nie przyznała, lecz w skrytości ducha uważała, iż Susan ma rację. Bardzo łatwo byłoby zrezygnować z szukania pracy, rozkoszując się macierzyństwem i wygodami luksusowego domu.
- Nie mogła się jednak nazbyt przyzwyczajać do tego rodzaju życia. Pewnego dnia będzie musiała stąd odejść. Ostatecznie, jej małżeństwo nie było autentyczne i mogło się skończyć w każdej chwili.
- Zaczęła już nawet przeglądać ogłoszenia w gazetach, aby zorientować się w sytuacji na tutejszym rynku pracy, ale nie było zbyt wiele ofert. Każda możliwość zdobycia lepszej posady w jakimś biurze, oznaczała długie godziny dojazdów do pobliskiego miasta.
- Może po Nowym Roku będzie tego więcej? - pomyślała Leonie i przekreśliła się spokojnie na drugi bok, gdyż nie słyszała żadnych alarmujących odgłosów z pokoju synka. Poprzedniej nocy Susan była na jakimś przyjęciu i będzie chciała rano dłużej pospać, więc obowiązek pilnowania Mała spoczywał do południa na Leonie.
- Tak, trzeba jednak wstać i do niego zajrzeć - mruknęła do siebie sennym głosem. - No, jeszcze pięć minut - dodała przeciągając się leniwie i nurkując na powrót pod ciepłą kołdrę
- Miała na sobie bieliznę, którą dostała w prezencie od Gilesa, gdy była jeszcze w szpitalu. Komplet ślicznej nocnej bielizny: szlafrok,

koszula, malutki kaftanik i pidżama ze śnieżnobiałego jedwabiu, wszystko ozdobione czarnym monogramem „K”. Prostota i wykwintna elegancja. Imię paryskiego projektanta światowej sławy figurujące na metce sugerowało, że Giles wydał na to fortunę.

Przyszedł pewnego dnia do szpitala i w obecności pielęgniarki wręczył jej owinięte srebrnym papierem pudełko. Gdy odpakowywała prezent, nie mogła opanować drżenia rąk - z zaskoczenia i zażenowania.

- Dzięki - wyjąkała rumieniąc się.

- Nie mogę się doczekać, kiedy cię w tym zobaczę - wycedził Giles tym swoim sarkastycznym tonem, który doprowadzał ją do szału.

Obserwująca ich ciekawie pielęgniarka zachichotała domyślnie, a Leonie spuściła głowę i udała, że podziwia krój koszuli od pidżamy. Cały czas była jednak świadoma ironicznego spojrzenia Gilesa.

Gdy wróciła ze szpitala, pudełko wraz z zawartością zostało wciśnięte na najwyższą półkę w szafie. Leonie przysięgła sobie, że nigdy nie założy żadnej z części tego wykwintnego kompletu. Pech chciał, iż Marjorie przypadkowo znalazła pudełko i starannie wszystko porozwieszała.

- Zniszczyłyby się w tym pudle - powiedziała karcącym tonem do Leonie, na szczęście nie przy Gilesie.

Poprzedniego wieczoru jedwabna koszula z kompletu leżała przygotowana na łóżku. No tak, Marjorie znów wie lepiej - pomyślała z lekką irytacją Leonie i zamierzała odwiesić ją z powrotem do szafy. Po głębszym namyśle doszła jednak do wniosku, że byłoby to nadawaniem sprawie wyjątkowego znaczenia, więc ostatecznie postanowiła ją nałożyć.

Nagły, niespodziewany dźwięk sprawił, że Leonie aż podskoczyła na łóżku i usiadła. Wąskie ramiączka koszuli niedbale zsunęły się jej z ramion.

To nie Mal płakał, to ktoś otwierał drzwi sypialni. W półmroku zimowego świtu Leonie zobaczyła sylwetkę Gilesa Kenta. Skurcz przerażenia poraził jej serce.

- Dobrze, że nie śpisz - usłyszała szept, który zabrzmiał jak cicha groźba.

Obserwowała go wstrzymując oddech. Bezszelestnie zamknęła drzwi i zaczął zbliżać się w kierunku łóżka

- smukła, długa postać w lśniącym czarnym szlafroku.

- Czego chcesz - syknęła, unikając jego wzroku. Natychmiast chwyciła kołdrę i naciągnęła ją sobie pod samą szyję.

Stała nad łóżkiem.

Leonie uniosła na chwilę wzrok - po to tylko, aby zobaczyć, jak jego brwi unoszą się w drwiącym rozbawieniu.

- Chodzi nie tyle o to, czego ja chcę - powiedział cedząc powoli każde słowo - ale raczej o to, czego chce zupełnie inny mężczyzna.

Przez moment nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Była tak skoncentrowana na tym, by na niego nie patrzeć, że zupełnie nie zauważyła, iż Giles trzyma w ramionach jej syna. Gdy w końcu to do niej dotarło, oblała się purpurą.

- Och, tak, oczywiście - wyjąkała.

Dlaczego zachowała się tak idiotycznie? Teraz Giles wie, że Leonie od razu go posądziła, że przyszedł ją napastować. Tymczasem jedynym celem jego wizyty było przyniesienie jej Mała. Najchętniej zapadłaby się po prostu pod ziemię.

- Przypuszczam, że domaga się śniadania - znów ta chłodna kpina w jego głosie.

- Tak, oczywiście - powtórzyła Leonie z rozdrażnieniem, życząc sobie w duchu, aby Giles dał jej Mała i od razu zniknął. - Wybacz, jeśli cię obudził. Nie słyszałam, jak płakał.

- Nie płakał. Gruchał tylko do siebie i ssał paluszek z głodną minką. Zresztą, prawdopodobnie byłem bardziej rozbudzony niż ty. Zmieniłem mu pieluszki i wykąpałem jegomościa.

- O! - wyjąkała w osłupieniu - dzięki, tto...to bardzo miło.

- No, sprawiło mi to frajdę - oznajmił z poważną miną. - Teraz wszystko, co musisz zrobić, to tylko go nakarmić.

Jakby na potwierdzenie tych słów, Mał przekręcił swą małą, ciemną główkę, popatrzył oskarżycielsko na mamę i zaczął płakać.

- Wygląda na to, że wcale nie zamierza dłużej czekać - zaśmiał się Giles, po czym podał jej syna, a sam ku jej przerażeniu, rozsiadł się wygodnie na łóżku.

Spojrzała na dziecko, które węszyło w gładkim jedwabiu koszuli, poszukując ciepłego sutka. Natychmiast w jej piersiach zaczęło wzbierać mleko. Zaokrągliły się i nabrzmiały, jakby czekając na malutkie usteczka synka.

Giles z krzywym uśmieszkiem patrzył na rozterkę Leonie.

- Przecież widziałem go przy twojej piersi w dniu, kiedy się urodził, pamiętasz?

Pochylił się i zręcznie odpiął dwa guziki jej nocnej koszuli.

Była zbyt wstrząśnięta, by się poruszyć. Nie mogła nawet oddychać.

Gorąca dłoń wsunęła się za jej dekolt i dziewczyna zadrzała. Poczuła, jak długie palce oplatają się wokół nabrzmiałej piersi, jak odsuwają okrywający ją jedwab. Usłyszała jego ciężki oddech i zobaczyła płonące, szare oczy.

Giles w napięciu patrzył na nagą, bezbronną pierś. Jego palce poruszały się, pieszcząc gorące ciało, twardą brodawkę...

Dziewczynę ogarnął spazm niepohamowanego pożądania i wiedziała, że będzie musiała się mu poddać. Westchnęła rozpaczliwie i zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem dłoni na swojej skórze. Dotykem, którego pragnęła od tak dawna. Namiętność i ból rozbudzonego pragnienia ogarnęły jej całą istotę... I wtedy Mal zapłakał znowu. Tym razem głośniej.

Leonie otworzyła szeroko oczy i zamarła, porażona nagłym powrotem do rzeczywistości.

Giles zaśmiał się krótko i odsunął rękę od jej piersi.

- Lepiej go nakarm, zanim postawi na nogi cały dom.

Wstał i wyszedł tak szybko, że Leonie w ogóle by tego nie zauważyła, gdyby nie trzask zamykanych drzwi.

Automatycznym ruchem podała Malowi pierś. Natychmiast zaczął ssać z apetytem małego głodomora.

Siedziała, trzymając dziecko i patrząc bezmyślnie przed siebie,

zupełnie ogłuszona tym, co się stało. Pragnęła Gilesa tak silnie, że wciąż drżała z pożądania. Ale nie to ją przerażało. Jestem w nim zakochana - pomyślała - i westchnęła ciężko. Przymknęła oczy. Jak mogło do tego dojść? Owszem, od pewnego czasu była skłonna przyznać się, że Giles ją pociąga, ale wiedziała, że szaleństwem byłoby pozwolić, aby on cokolwiek podgrzewał. Był przecież gotów wykorzystać jej uczucia. Cały czas starała się zachować zdrowy rozsądek, ale... Nie, to niemożliwe, nie pokochała go!

Było jednak za późno, aby to sobie powtarzać. Od chwili, gdy po raz pierwszy przyznała się przed sobą do tych uczuć, zaczęły rosnać i potęgnić jak oszalałe.

Jak mogła do tego dopuścić? Od kiedy przestała kochać Malcolma i poddała się wzbierającemu w niej uczuciu do Gilesa?

Próbowała przywołać twarz Malcolma. Chciała przypomnieć sobie łączącą ich miłość, ale Malcolm oddalał się od niej dzień po dniu, od wielu miesięcy. Wycofywał się niezauważalnie w przeszłość. Był kimś, kto będzie jej zawsze drogi. Był ojcem jej dziecka. Pogodziła się już jednak z jego odejściem. Nigdy o nim nie zapomni, nazbyt go kochała. Jej miłość zmieniła się jednak w łagodne przywiązanie, a rozpacz stała się cichym smutkiem i pokorną rezygnacją. Leonie wciąż żyła. I była kobietą pragnącą życia i namiętności.

Boże, ale dlaczego właśnie Giles? - myślała z płonąca twarzą. Nigdy jeszcze nie czuła takich emocji, których nie byłaby w stanie opanować. Nie chciała się do tego przyznać, ale prawda była bezlitosna - dziś rano Leonie gotowa była oddać się Gilesowi. I kochaliby się, gdyby nie było pomiędzy nimi dziecka. Gdyby Mal nie zaczął płakać...

Przypomniała sobie o dziecku i spojrzała na rumianą buzię i ciemną główkę. Mal skończył właśnie jeść i beztrósco spał, opierając się z ufnością na jej ramieniu. Uśmiechnęła się mimowolnie - był taki zadowolony i anielski.

Powoli, żeby go nie obudzić, zapięła koszulę i położyła się na łóżku - wciąż trzymając to słodkie ciało w ramionach. Patrzyła na synka i jednocześnie zastanawiała się gorączkowo, jak, na miłość

boską, będzie mogła teraz spojrzeć w oczy Gilesowi.

Nie miała wątpliwości, że wiedział, jak bliska była utraty kontroli nad sobą. Zadrżała na myśl, co też on może zrobić następnym razem. Ich małżeństwo miało dać mu prawa do jej syna. Teraz na pewno Giles uważa, że otrzymał pełne prawa również i do niej. Westchnęła ciężko. Cóż, trzeba mu to będzie jak najszybciej wybić z głowy.

Minęła godzina, zanim Leonie odważyła się w końcu zejść na dół. Miała na sobie lekki, sportowy strój - jasne džinsy i delikatny, kaszmirowy sweterek. Włosy zaczesła do tyłu i przewiązała błękitną wstążką.

Giles siedział przy stole i czytał gazetę. Najwyraźniej skończył już śniadanie; Była niedziela i nie szedł do pracy, więc też wystąpił w stroju swobodnym, choć jak zwykle wyglądał w tej swojej jasnozielonej koszuli i czarnych drelachach, jakby właśnie wyszedł z najlepszego salonu mody.

Gdy weszła do jadalni, opuścił nieco gazetę i przyjrzał jej się z kwaśną miną.

- Wyglądasz na piętnaście lat. Cóż to, wskrzeszamy duszę nastolatki? - cmoknął przeciągle. - Nic ci to nie pomoże. Nie da się uciec od życia, Leonie. Ma ono paskudny zwyczaj doganiania człowieka, wcześniej czy później.

- Jesteś dla mnie zbyt błyskotliwy - powiedziała zimno.

Usiadła przy stole i naląła sobie kawy.

- Oj, oj! - zaśmiał się. - Dobrze wiesz, o czym mówię. Chciałabyś, żeby życie było proste, jak abecadło. Malcolm był nieskomplikowany, urodziwy i czarujący. Sprawiał, że czułaś się jak księżniczka z bajki, szczęśliwa, że może układać sobie życie według wygodnych stereotypów. I tak oto, mnie obsadziłaś w roli nikczemnego brata i to tylko dlatego, że ośmieliłem się uważać, iż ty i Malcolm nie pasujecie do siebie. Byłem tyranem, który usiłował przeszkodzić waszemu szczęściu. Wciąż myślisz o mnie w tych kategoriach, czyż nie?

Leonie postanowiła, że nie da się wciągnąć w kolejną tego typu dyskusję. Wstała więc, nawet na niego nie spoglądając i poszła do

kuchni zrobić sobie grzanekę. Wciąż uparcie milcząc wróciła do stołu, posmarowała grzanekę masłem i marmoladą, i zaczęła jeść, choć wcale nie czuła głodu.

- Z ponurej miny wnioskuję, że coś nie dopisuje nam dziś humor - szydził Giles. - Czyżbyśmy się czuli troszeczkę winni?

Poczuła, jak palą ją policzki.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabym czuć się winna!

- Ależ ja się z tym absolutnie zgadzam - zaśmiał się. - To ty wciąż usiłujesz pozostać wierną pamięci Malcolma, nie ja. Choć dziś rano w sypialni, coś tak jakby na chwilę o nim zapomniałaś...

- Milcz! Nie zamierzam tego słuchać! - Leonie poderwała się rozgniewana. Odtrącone przez nią krzesło z hukiem upadło na podłogę.

Giles wstał także, złożony przedtem spokojnie gazetę.

- Och, usiądź i kończ sobie śniadanko. Wychodzę, możesz przestać się trząść i zapomnieć o świętym oburzeniu.

Skierował się ku drzwiom. Leonie powoli opadła na krzesło i drżącą ręką sięgnęła znów po kawę. Giles zatrzymał się w progu i rzucił przez ramię:

- A tak przy okazji: idziemy dziś na przyjęcie gwiazdkowe, urządzone przez mojego dziadka, lorda Cairnmore. Nie jest to nic wielkiego, ale wszyscy mnie tam znają, więc chciałbym, abyś zrobiła dobre wrażenie. Ubierz się jakoś specjalnie.

Nie mogła ścierpieć tego władczego tonu.

- Nie rozkazuj mi! - krzyknęła w gniewie. - Nie jestem twoją własnością! Nie ubieram się, żeby ci dogadzać, ani robić wrażenie na twoich znajomych! A poza tym, nigdzie z tobą nie idę!

Spojrzał na nią wzrokiem nie wróżącym niczego dobrego.

- Idziesz!

- Nie możesz mnie zmusić!

- Nie mogę? - zarechotał nieprzyjemnie. Najwyraźniej wciąż nie traktował jej poważnie.

Nadszedł już najwyższy czas, żeby w końcu zaczął.

- Nie, nie możesz!
 - Chcesz się założyć?
 - Mówię poważnie, Giles! - jej gniew wzrastał.
 - Ja też - powiedział przez zęby. - To ty zachowujesz się jak dziecko. Przyjęcie urządzone jest specjalnie dla nas. Mój dziadek chce cię poznać i przedstawić swoim przyjaciołom. Nie byli zaproszeni na nasz ślub i są bardzo ciebie ciekawi. Do diabła, Leonie, każdy będzie oczekiwał tam przede wszystkim mojej żony!
 - Przestań nazywać mnie swoją żoną! - zaprotestowała, czując, jak krew napływa jej do twarzy. Wiedziała, że prowokuje kolejną scenę i robi głupio, ale nie mogła się już zatrzymać.
 - A kimże to niby jesteś?! - Giles najwyraźniej tracił resztki dobrego humoru. - Jesteś moją żoną! Moją żoną, Leonie! Zaczynaj w końcu w to wierzyć, bo taka jest rzeczywistość!
- Twarz pociemniała mu ze złości i Leonie poczuła niejaką satysfakcję. Chciała, żeby Giles stracił w końcu ten swój żelazny spokój. Z jakiej racji on ma zawsze panować nad sobą, skoro ona już zupełnie nie była w stanie kontrolować swoich emocji, uczuć, zachowań?
- Zawrócił i szybkim krokiem zbliżył się do niej, a ona poderwała się z krzesła, aby znów stawić mu czoło.
- Nie jestem twoją prawdziwą żoną i to nie jest prawdziwe małżeństwo! Świstek papieru dla dobra Mała!
 - Nie mieszaj do tego Mała...
 - A to niby dlaczego? On jest jedynym powodem, dla którego pozwoliłam ci się wciągnąć w ten fikcyjny związek! Zresztą ty sam nalegałeś dla tego samego powodu!
 - Och, wierz mi, Leonie, ja nalegałem również i z innych powodów - powiedział i nagle znalazł się stanowczo za blisko. Oczy błyszczały mu złowrogą kpina.
 - Jakich powodów? - szepnęła i od razu ugryzła się w język.
- Jak mogła być tak nierozważna? To była gra, w której on był mistrzem, a ona tylko niezdarnym uczniem. Igrał z nią. Urządził sobie świetną zabawę.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Chcesz, żebym ci znów pokazał? Z przyjemnością, chodźmy tylko na górę...

Ze wszystkich sił uderzyła go w twarz.

Tego się nie spodziewał. Patrzył na nią z zimną furią, mocno zaciskając szczęki, jakby starał się przed czymś powstrzymać.

- Nigdy więcej tego nie rób, Leonie. Następnym razem mogę ci się zrewanżować w ten sam sposób.

- Będzie to lepsze, niż gdybyś miał mnie całować! - rzuciła jadownicę i poczuła zuchowatą, szaleńczą satysfakcję. Nareszcie zdołała zaleźć mu za skórę. Poruszyło go. Proszę bardzo, oto Giles Kent stracił w końcu zimną krew.

Przez chwilę nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Giles wyglądał na tak rozwścieczonego, że Leonie poczuła, jak serce wali jej w piersiach duszącym łomotem. I wtedy oboje usłyszeli, że do drzwi zbliża się Marjorie. Jej kroki odbijały się echem na drewnianej posadzce przedpokoju.

Giles spojrział w stronę drzwi i maska obojętności na powrót zakryła jego twarz.

- Posłuchaj - powiedział spokojnie. - Wieczorem masz być gotowa na przyjęcie, bo jeśli nie, to osobiście przyjdę do twojego pokoju, ubiorę cię i jeśli będę musiał, zniosę na dół na plecach. I nie łudź się, że żartuję, gdyż zapewniam cię, że tak nie jest. Jesteś moją żoną i to nie tylko na papierze. Jeśli chcesz prowokować głupią grę, to proszę bardzo, ale wierz mi, nie będziesz zachwycona jej konsekwencjami!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Do końca dnia Leonie była targana kompletnie sprzecznymi uczuciami. Już postanawiała, że nie podda się Gilesowi i zlekceważy jego żądanie, by za chwilę dojść do wniosku, że jednak ostrożność i dobra wola byłyby w tej sytuacji dużo bardziej rozsądne, a nawet pożądane. Choć z drugiej strony... I tak w kółko. Cały dzień trzymała się blisko pani Kent, aby tylko uniknąć bliższego kontaktu z Gilesem. Nie mogła jednak uniknąć jego wzroku. Bez przerwy czuła na sobie to ostrzegawcze, ostre spojrzenie z wyraźną groźbą. Nie żartował - co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Wieczorem oglądali w trójkę telewizję. Pani Kent pracowicie dziergała na drutach sweterek dla wnuka. W pewnej chwili Giles zerknął na zegarek i podniósł się.

- Jest wpół do siódmej - oznajmił. - Leonie, czas wziąć prysznic i przygotować się do wyjścia.

- Och, faktycznie, zupełnie zapomniałam o przyjęciu u Cairnmore'a - uśmiechnęła się jego matka, nie przerywając robótki. - Jestem pewna, że będzie ci się tam podobało, Leonie. To taki przemiły człowiek.

- Czy pani też idzie? - zapytała Leonie z nadzieją, lecz teściowa potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, kochanie. Zostałam zaproszona, ale dziś chciałabym się wcześniej położyć.

- Chodź już, Leonie - mruknął Giles i położył rękę na jej ramieniu, zaciskając palce, które odczuła jak żelazną obręcz.

Nie mogła szamotać się w obecności jego matki.

Pozwoliła więc wyprowadzić się z pokoju, lecz gdy znaleźli się na schodach, natychmiast wyrwała się, dysząc z dławionej wściekłości.

- Przestań mną rozporządzać!

- Sama mnie do tego zmuszasz!

W polu ich widzenia pojawiła się niosąca jakąś tacę Marjorie. Spojrzała wyraźnie zaintrygowana, więc Leonie wymusiła z siebie

mdły uśmiech i weszła sztywno na schody. Nie mogła się przecież kłócić z Gilesem na oczach gospodyni.

Pośpiesznie pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Chciała natychmiast zamknąć je na klucz, ale klucz po prostu zniknął. Przez chwilę przyglądała się bezradnie klamce i wtedy usłyszała rozbawiony głos Gilesa po drugiej stronie drzwi.

- Przyjdę po ciebie, jak już będę gotowy. Zostało ci mniej więcej pół godziny, Leonie.

Odszedł. Odsunęła się od drzwi rozmyślając, co teraz zrobić. Jak śmiał zabrać klucz do jej sypialni?! Co on sobie w ogóle wyobraża?!

Usłyszała szum prysznica w jego pokoju i spojrzała na zegarek. Czas uciekał. Należało powziąć jakąś decyzję. Zresztą wiedziała, że dawno ją już podjęła. Bała się sceny w obecności teściowej i służby. I Giles dobrze o tym wiedział. Uch, żeby go tak pokręciło!

Ze złością otworzyła szafę i popatrzyła na swoje ubrania. Co mogła na siebie włożyć? Nie miała zbyt wiele strojów, które byłyby odpowiednie na eleganckie przyjęcie. Wszystkie kobiety będą dziś ubrane z zabójczą elegancją - pomyślała i nagle jej wzrok zatrzymał się na sukience, której nie miała na sobie już od wielu miesięcy. Dostała ją od Malcolma. Wybrał ją specjalnie na przyjęcie, na którym oboje byli dokładnie rok temu. Nie czuła się w tej sukience najlepiej i choć zrobiła wtedy niemałą furorę, był to jedyny raz, kiedy miała ją na sobie. Malcolm natomiast bardzo ją lubił i na próżno prosił Leonie, by w niej chodziła. Zmysłowy, czarny atłas ciasno przylegający do skóry, stanowczo za bardzo opinał figurę. W dodatku była to sukienka mini i bez ramion - czyli wyzywająco skąpa. Leonie wiedziała, że przyciąga to uwagę mężczyzn, ale nigdy nie była dziewczyną, która rozkoszowałaby się tego rodzaju zainteresowaniem.

Mściwy uśmiezek wypłynął jej teraz na usta. Giles chciał, żeby „zrobiła wrażenie” wśród jego znajomych, więc dlaczegoż by nie...

Wyjęła sukienkę i przyłożyła ją do siebie. Z namysłem spojrzała na swoje odbicie w długim lustrze, wiszącym na drzwiach szafy. Nie jest źle - pomyślała, po czym położyła sukienkę na łóżku i pobiegła

wziąć prysznic.

Pół godziny później w drzwiach stanął Giles, który na jej widok o mało co, po raz drugi tego dnia, nie stracił zimnej krwi.

Leonie udała, że go ignoruje - całą uwagę skupiając na swawolnym pasemku srebrzystych włosów, które uporczywie zawijało się w złą stronę - ale oczywiście z napięciem czekała na reakcję.

- O nie! - warknął z wściekłością.

W chabrowych oczach Leonie zapaliły się iskierki wesołej kpiny.

- Co? - spytała niewinnym głosem.

- Nie możesz iść w czymś takim!

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - niemalże słysząc było, jak zgrzyta zębami.

- Nie podobam ci się w tym? - zamruczała i przesunęła dłonią po przylegającym do ciała czarnym atlasie.

Jego wzrok poszedł za ruchem ręki Leonie - wzdłuż nabrzmiąłych piersi, wąskiej talii, krągłych bioder... Zobaczyła, jak zadrgały mu wargi.

- Uważaj, bo pokażę ci, jak bardzo... - wycedził ochryple i nagle dziewczynie zabrakło tchu.

Giles popatrzył zwycięsko, jak gorący rumieniec oblał jej twarz i zaśmiał się.

- No, nie mamy teraz na to czasu - dodał z niebezpiecznym błyskiem w oku.

Leonie nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

- Nie mamy też czasu, byś przebrała się w coś bardziej odpowiedniego.

- Przecież powiedziałaś, że bym włożyła swoją najlepszą sukienkę i to jest właśnie ta! A przynajmniej to była ulubiona sukienka Malcolma.

Zapadła długa cisza. W powietrzu wisiało napięcie, które Leonie czuła każdym nerwem swego ciała. Po chwili Giles odwrócił się i wyszedł, rzucając przez ramię:

- Pośpiesz się, bo się spóźnimy.

Włożyła szybko swój aksamitny, czarny płaszcz wieczorowy, złapała torebkę i podążyła za nim, walcząc z ogarniającą ją nagle tremą.

Teraz, kiedy było już pewne, że jada jednak na przyjęcie, cała przekora i pewność siebie zupełnie ją opuściły. Jego bogaci, snobistyczni znajomi będą patrzeć z niesmakiem, urażeni samym jej widokiem - myślała i poczuła, jak serce w niej powoli zamiera. I po co to zrobiła? Tak, wmówiła sobie, że wkłada tę sukienkę na złość Gilesowi, ale to nie była prawda. Oszukiwała samą siebie. W rzeczywistości chciała znów zobaczyć pożądanie na jego twarzy. Drażnienie jego zmysłów sprawiało jej dziką przyjemność. Było to głupie, szalone i niebezpieczne. Czy nie wystarczy, że i tak była w jego mocy? Po co go prowokowała, ubierając się w ten sposób? Nigdy nie lubiła igrać z ogniem. Chęć uwiedzenia Gilesa była ostatnią rzeczą na świecie, która przyszłaby jej do głowy, czyż nieprawda? Przygryzła drżące wargi. Czyż nieprawda?! To pytanie huczało jej w głowie. Odbijało się echem i powracało, pozostając bez odpowiedzi. Co się ze mną dzieje - pomyślała z uczuciem zupełnej paniki - o co mi chodzi?

Popatrzyła na dół schodów, gdzie czekał Giles. Wysoki mężczyzna o surowej twarzy i smukłej, potężnej sylwetce. Miał na sobie czarny garnitur wieczorowy, w którym wyglądał jeszcze bardziej ofiq'alnie niż zwykle. Leonie poczuła się wręcz chora ze zdenerwowania i dziwnej tęsknoty.

O nie - westchnęła - ja naprawdę zaczynam go kochać. Czyste szaleństwo!

Już chciała zawrócić do swojego pokoju, ale właśnie pojawiła się pani Kent. Jej serdeczna twarz wydłużyła się nieco na widok synowej, ubranej tak wyzywająco, lecz na szczęście nie skomentowała tego w żaden sposób.

- Bawcie się dobrze - powiedziała tylko. Leonie zdołała przywołać nieśmiały uśmiech, po czym Giles wziął ją pod rękę i wyszli z domu do czekającego samochodu. Zawoził ich George, żeby

Giles na przyjęciu mógł napić się czegoś mocniejszego.

Jechali w milczeniu.

Przed żelaznymi wrotami, które prowadziły do parku Cairn House, wił się długi sznur eleganckich limuzyn. Sunęły z dostojną powolnością, ich koła zgrzytały smutno na żwirowej drodze, wiodącej do domu lorda Cairnmore. George dołączył do tej procesji i Leonie czuła się, jakby uczestniczyła w żałobnym pochodzie.

- O której mam po państwa przyjechać? - zapytał George, otwierając przed nimi drzwiczki samochodu, gdy w końcu zatrzymali się przed frontem domu.

- Jedenasta trzydzieści. Gdybym chciał to zmienić, zadzwonię - powiedział Giles, a Leonie z zachwytem oglądała olbrzymią, osiemnastowieczną budowlę, rozjarzoną światłami reflektorów.

Cairn House był jedną z najpiękniejszych rezydencji w całym hrabstwie Essex. Dziewczyna nigdy dotąd nie miała okazji podziwiać go z tak bliska. Stała więc, do głębi urzeczona tym widokiem. Zawsze myślała, że Warlock House jest piękny, lecz teraz miała przed sobą coś nieporównywalnie wspanialszego. Dom lorda Cairnmore był po prostu dziełem sztuki.

George odjechał, a Giles i Leonie skierowali się w stronę szerokich schodów, na szczycie których stał lord Cairnmore we własnej osobie - potężna, monumentalna postać o jaśniejącej w ciemności czuprynie siwych włosów.

Giles ujął Leonie za łokieć i poprowadził do góry - na spotkanie ze swoim dziadkiem. Lord Cairnmore uśmiechnął się do niej. W jego oczach odbiło się zaciekawienie, przemieszane ze szczerym zachwytem.

- To jest Leonie, sir - powiedział Giles. Starszy pan wyciągnął do niej dłoń.

- Leonie, tak się cieszę. Miło mi nareszcie cię poznać. Żałuję, że nie mogłem przyjść na wasz ślub, lecz tak się niefortunnie złożyło, że byłem w tym czasie za granicą. Mam nadzieję, że ty i Giles będziecie razem bardzo szczęśliwi.

- Dziękuję - wyszeptała trwożliwie, a on znów się uśmiechnął.

- Wierz mi, ustrześliłaś niezłą partię. Wiele ładnych dziewcząt próbowało go upolować, ale bez skutku. Wszyscy zachodzili w głowę, co mu się nagle stało. Tymczasem wystarczy raz spojrzeć na ciebie, by to zrozumieć od razu! Wszyscy mężczyźni będą mu dziś zazdrościli. Ba, sam mu zazdrozczę! Giles, mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakim jesteś szczęściarzem?

- Niewątpliwie, sir - wycedził Giles.

Leonie od razu bardzo polubiła lorda Cairnmore. W szlachetnych rysach jego twarzy odbijały się humor, dobroć i spokojna siła.

- Mam nadzieję, że w przyszłości będę cię często widywał, Leonie.

- Dziękuję, lordzie Cairnmore - uśmiechnęła się, mile zaskoczona tak serdecznym powitaniem.

- Och, proszę, mów do mnie Harry.

- Bardzo przepraszam, czy mógłbyś przestać flirtować z moją żoną? - powiedział Giles, rozbawiony.

- Flirtowałem? - starszy pan udał zaskoczenie, a potem mrugnął do niego porozumiewawczo. - Wybacz, Giles, ale obawiam się, że jest to coś, do czego musisz przywyknąć. Nie powinieneś poślubić tak pięknej kobiety, jeśli nie chcesz, aby na twoją żonę patrzyli inni mężczyźni.

- Nie mam nic przeciwko patrzeniu - mruknął Giles i zaborczym gestem ujął Leonie w talię. - Ale niech nikt nie waży posuwać się dalej!

Lord Cairnmore wybuchnął głośnym śmiechem.

- Będziemy zazdrosnym mężem, prawda, Giles? Ale właściwie, dlaczego nie? Dlaczego nie? Wcale ci się nie dziwię. Zaprowadź ją do środka i nalej coś do picia. Dołączę do was za kilka chwil.

Odwrócił się, aby przywitać innych gości, a Leonie i Giles weszli do oświetlonego świecami, wspaniałego przedpokoju.

Tu powitała ich starsza córka lorda Cairnmore, Jess Cutler. Jej mąż, Neil Cutler, był sławnym hodowcą koni, a sama Jess miała reputację jednego z najlepszych jeźdźców w Anglii. Jej twarz, dziwnym zbiegiem okoliczności, też przypominała końską. Raczej

szlachetnej klaczy: długi, szczupły nos, wysokie czoło, prosta, brązowa grzywka i ogromne, przenikliwe oczy.

Po przywitaniu się z Leonie, której nie miała do powiedzenia zbyt wiele, Jess Cutler zaczęła rozmawiać z Gilesem, wybuchając co chwila głośnym śmiechem.

- Wciąż nie mogę uwierzyć - powiedziała nagle. - Ty i małżeństwo! Neilomalże nie zalał się łzami. Twierdzi, że jest to marnowanie twojego talentu. Powiedział, że zamierza prosić cię o twój słynny kalendarzyk, żeby mógł pocieszyć wszystkie twoje dawne zdobycze. Pamiętaj, jeśli poprosi, masz mu odmówić!

- Nie ma obawy, odmówię - zaśmiał się Giles.

- Mam nadzieję - powiedziała swoim pewnym, aroganckim głosem. Potem obrzuciła Leonie chłodnym spojrzeniem i dodała: - Ostrzegam cię Giles: Steff tu jest.

Leonie zamarła. Przybrała obojętną minę, ale w myślach gorączkowo zastanawiała się, co też pani Cutler ma na myśli. Kto to jest Steff?

Już po chwili udało jej się skojarzyć. Tak, chodzi na pewno o Stephanie Ibbotson - rudowłosą piękność, z którą Giles spotykał się w czasie, gdy Leonie była z Malcolmem. Aktualnie Stephanie Ibbotson zajmowała się projektowaniem ogrodów dla zamożnej klienteli, lecz przedtem była fotomodelką i miała szczególne uzdolnienia w robieniu szumu wokół własnej osoby.

- Nie wiedziałem, że się przyjaźnicie, Jess — powiedział Giles. Jeśli wiadomość o obecności Stephanie zaniepokoiła go, to stanowczo nie dał tego po sobie poznać.

- Nie nazwałabym jej swoją przyjaciółką - powiedziała Jess Cutler z lekkim rozdrażnieniem. - Po prostu projektuje dla mnie ogród.

- Jest w tym bardzo dobra - zauważył Giles.

Leonie obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Ciekawe w czym? - pomyślała cierpko. Nagle złowiła na sobie spojrzenie Gilesa i pośpiesznie odwróciła wzrok. Miała nadzieję, że nie odczytał wyrazu jej oczu! Nie chciała, by myślał, że jest o niego zazdrosna. Oczywiście,

że nie jest.

- Och, wspaniale pracuje! Przeobraziła mój ogród cudownie... O, o wilku mowa! - wykrzyknęła nagle Jess, patrząc Gilesowi ponad ramieniem. - Oto i ona!

Leonie i Giles poszli za jej spojrzeniem i oboje natychmiast rozpoznali mężczyznę, który właśnie rozmawiał ze Stephanie Ibbotson.

- Powiedziała jej, żeby przyprowadziła kogoś, no i pojawiła się z przystojnym, młodym lekarzem - powiedziała Jess śmiejąc się. - Dodaje to nowej wartości światu prywatnej medycyny, czyż nie?

Żadne z nich nie podzielało jej rozbawienia, ale Jess nawet tego nie spostrzegła. Jej uwagę zajmował już ktoś inny.

- Gerry, kochanie, cudownie, że przyszedłeś! - zawołała i oddaliła się w stronę kogoś, kto wyglądał na kolejnego członka końskiego bractwa.

- Ten facet ze Steff, to ten sam, który był na naszym ślubie, prawda? - zauważył chłodno Giles.

- Andrew, czy jak mu tam, no, ten, który ofiarował ci swoje mieszkanie?

Leonie przytaknęła, marszcząc brwi.

- Ciekawa jestem, co on tu robi?

- A co? Spodziewałaś się, że pozostanie ci wierny do końca życia? - zapytał jadowicie Giles, wywołując rumieniec na jej twarzy.

- Andrew i ja nigdy nie byliśmy ze sobą związani. Widywał się z Angelą!

- Angelą? - ton jego głosu był wciąż zimny.

- Tak - powiedziała Leonie i poczuła wyrzuty sumienia. Odkąd Mal przyszedł na świat, zupełnie zapomniała o przyjaciółce. -

Koniecznienie muszę do niej zadzwonić - powiedziała. - Odwiedziła mnie w szpitalu, ale od tamtego czasu już się z nią nie widziałam.

Może zerwali ze sobą? Mam nadzieję, że nie. Andrew jest taki miły... Angelą naprawdę miała w stosunku do niego poważne zamiary.

- Ze sposobu, w jaki Steff się w niego wpatruje, należy wnioskować, że też ma w stosunku do niego poważne zamiary -

zadrwił Giles i Leonie pomyślała, że może jest zazdrosny.

Które z nich zerwało znajomość: Giles czy Stephanie Ibbotson? Czy czuł jeszcze coś do niej? Na samą myśl o tym, serce w niej zamarło. Steff była atrakcyjną, rudowłosą piękną o zielonych oczach. Patrząc na nią Leonie poczuła się nagle wyblakła, nudna i nieciekawa.

- Mam wrażenie, że cię to niepokoi - powiedział Giles.
- Co? Andrew? Nie, dlaczego? Po prostu nie sądziłam, że zmienianie kobiet co kilka tygodni jest w jego stylu.
- Nie wiesz, kto zerwał, może to twoja droga przyjaciółka, Angela. Z tego, co wiem, wierność nie jest również i w jej stylu.
- Nie znasz jej na tyle, by wydawać takie opinie!
- Malcolm wspominał o niej kilka razy i spokojnie mogłem wyrobić sobie zdanie na tej podstawie.
- Angela po prostu nie ma szczęścia do mężczyzn - złościła się Leonie. — Zawsze trafia na kogoś nieodpowiedniego.
- Typowy model stosunków męsko-damskich - powiedział Giles oschle.

Nie była pewna, co miał na myśli. Coś w wyrazie jego twarzy mówiło, że chodzi mu nie tylko o Angelę. Nigdy nie ukrywał, że uważa, iż Leonie nie była odpowiednią kobietą dla Malcolma. Czy teraz też o to chodzi?

Spojrzała mu gniewnie w oczy. Była to reakcja bardziej na to, co sobie pomyślała, niż na to, co w rzeczywistości on mówił.

- Dlaczego zawsze musisz wszystko krytykować? Co czyni cię takim znawcą? I nie mów nic przeciwko Angeli, bo to moja najlepsza przyjaciółka!

Giles zaśmiał się nagle wesoło.

- Och, straszny ze mnie przeciwnik kobiecego klanu, nieprawdaż? Dobrze, nie powiem już ani słowa. Poza tym, Angela jest oczywiście chodzącym ideałem.

Leonie przygryzła wargę i nagle też się uśmiechnęła.

Stali tak, śmiejąc się do siebie i dziewczyna poczuła przenikającą ją poczucie szczęścia.

Zapomniała już, że można czuć się tak szczęśliwym. Było to zdumiewające, bo oznaczało, że Giles uczynił ją szczęśliwą po prostu uśmiechając się do niej. Prawdę powiedziawszy, było to zbyt przerażające, żeby się w ogóle nad tym zastanawiać...

- Leonie? - usłyszała i z trudem oderwała wzrok od Gilesa, by spojrzeć na mężczyznę, który właśnie do nich podszedł.

- Och... Andrew - zająknęła się.

Jej głos drżał lekko, wciąż pod wpływem tego nagłego uczucia szczęścia, które ogarnęło ją na chwilę.

- Nie wierzę własnym oczom! - Zachwycony Andrew wpatrywał się w jej czarną, obcisłą sukienkę.

- Wybacz, że się tak gapię - mruknął zaskoczony.

- Ale tak bardzo się zmieniłaś od czasu, kiedy cię ostatni raz widziałem!

- Byłam wtedy w ósmym miesiącu ciąży! - zaśmiała się lekko.

- Oj, byłaś, byłaś - gorliwie przytaknął Andrew, po czym kątem oka popatrzył na nie wróżącą niczego dobrego minę Gilesa. - Gratuluję syna - powiedział do niego szybko i odwrócił się znów do Leonie.

- Mnóstwo o was słyszałem od Angeli.

- Och, tak dawno jej nie widziałam - westchnęła i spojrzała niepewnie na Andrew. Zastanawiała się, czy wypada zadawać pytania, na które odpowiedzi są oczywiste. - Co u niej słyhać?

- Cóż, prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia

- mruknął Andrew z lekkim grymasem. - Dostała pracę charakteryzatorki w jakimś zespole filmowym i wyjechała z nim na trzy miesiące do Hiszpanii. Na początku dostałem kilka pocztówek, a potem głucha cisza, więc nie wiem, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

- Och, tak mi przykro, Andrew - Leonie ujęła jego rękę i ścisnęła ciepło w spontanicznym odruchu współczucia. - Angela zawsze, hm, zawsze...

- Masz na myśli: „zmienną jest...” Taaak... Przyznam się, że na początku trochę mnie to zmartwiło, ale cóż... Spotkałem tę wspaniałą

dziewczyne... - puścił oczko i Leonie zaśmiała się domyślnie.

- Oj, to się cieszę.

Andrew objął ją po przyjacielsku ramieniem i mocno uściskał.

- Jesteś naprawdę kochana, Leonie!

- Giles, co tu się dzieje? - zabrzmiały nagle głośne słowa Stephanie Ibbotson. - Czy zamierzasz pozwolić każdemu mężczyźnie kochać się z twoją żoną?

- Myślisz, że powinienem przyłożyć twojemu facetowi? - poinformował się, niby to obojętnie, Giles.

Stephanie zaśmiała się, lecz wcale nie wyglądała na rozbawioną.

- Och, kochanie, jakie to prymitywne i męskie! Myślę, że naprawdę stać cię na to!

- I masz rację - wycedził.

Stephanie podniosła rękę i miękkim ruchem przesunęła dłonią po napiętym ramieniu Gilesa, jakby chciała przetestować jego mięśnie.

- Uuuch, uwielbiam niebezpiecznych mężczyzn! - wyszeptała.

Leonie poczuła, jak krew się w niej burzy. Stephanie Ibbotson jakoś stanowczo nie budziła w niej sympatii.

- Ale wiesz co? - Stephanie kontynuowała przedstawienie. - Nie psuj przyjęcia! Jestem pewna, że Andrew będzie już grzeczny. Prawda, kochanie?

Andrew uśmiechnął się z przymusem. Nie bardzo wiedział, jak ma potraktować ten specyficzny przejaw poczucia humoru swojej nowej dziewczyny.

- Nie wygłupiaj się, Steff. Naprawdę, nie sądzisz chyba, że próbowałem uwieść Leonie? - tłumaczył się zaczerwieniony.

- No cóż, jak się bawić, to się bawić - powiedziała wyzywająco Steff, po czym owinęła ramiona wokół szyi Gilesa, przywarła do niego całym ciałem i namiętnie pocałowała w usta.

Dłoń Gilesa odruchowo powędrowała do bioder całującej go kobiety i Leonie poczuła szarpnięcie bólu tak ostrego, że przez chwilę nie była w stanie oddychać. Boże, jakaż ja jestem głupia - myślała wstrząśnięta - przecież to jest ostatni mężczyzna, w którym można się zakochać! Co za głupota być zazdrosną, skoro on mnie

lekceważy i poślubił tylko po to, aby mieć kontrolę nad pieniędzmi swojego brata. Do licha, nie wolno mi go kochać! Jak mam się ratować?!

- Zachowuj się, Steff! - mruknął Giles i odsunął ją na odległość ramienia.

Stephanie spojrzała na niego, mrużąc poządlawie kocie oczy. Leonie z udaną obojętnością na twarzy zastanawiała się, jak to jest, że z każdą minutą nienawidzi tej kobiety coraz więcej.

- Kochanie, wciąż jesteś najbardziej podniecającym mężczyzną, jakiego znam! - wymruczała Steff.

Andrew zeszywniał i zbladł. Obserwował całą scenę, nieprzyjemnie zaskoczony, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Steff popatrzyła za nim z kapryśną miną.

- O Boże, ktoś stroi dąsy!

Na ustach Gilesa pozostał ślad jaskrawej szminki. Leonie przyglądała mu się z niesmakiem. Ich oczy spotkały się i nie było wątpliwości, że Giles odczytał ich wyraz. Odsunął Stephanie, po czym wyciągnął chustkę i wytarł usta.

To niczego nie zmienia. Leonie wiedziała, że nie będzie w stanie tak łatwo wymazać z pamięci widoku Stephanie w jego ramionach. Niby zawsze wiedziała, że miał wiele romansów. Przecież Malcolm rozgłaszał to niemalże całemu światu. Ale teraz Leonie przekonała się o tym naocznie - i to bolało.

- Lepiej idź, poszukaj swojej nowej zabawki, jeśli nie chcesz, żeby przejął ją ktoś inny - powiedział Giles do Steff. Leonie zastanawiała się, czy był zazdrosny o Andrew. Co naprawdę czuł do Stephanie? Zacisnęła zęby - znów ten piekący ból zazdrości.

- Andrew jest naprawdę uroczy - zapewniła Stephanie z kwaśnym uśmiechem. - No, to do zobaczenia, Giles. Baw się dobrze.

Odeszła, absolutnie ignorując Leonie. Ale za to Giles przyjrzał jej się badawczym wzrokiem.

- Wciąż w złym humorze? Cóż, chodźmy poznać moich znajomych. Spróbuj być uprzejma i, na litość boską, uśmiechnij się!

Nie sprzeciwiła się. Była zbyt zajęta zwalczaniem tępego bólu w

sercu. Poszła za nim posłusznie, zmuszając się do bladego uśmiechu.

Reszta przyjęcia minęła Leonie w dziwnym półśnie. Rozmawiała z jakimiś ludźmi - nie wiedząc właściwie o czym, sączyła szampana, jadła jakieś eleganckie potrawy - choć nie czuła ich smaku. Wszystko wydawało się kompletnie nierealne.

Giles przedstawił ją swoim przyjaciołom. Niektórzy byli mili, inni nie, ale u każdego widziała błysk podejrzliwej ciekawości w oczach. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że ona i Giles pobrali się dosłownie kilka tygodni przed urodzeniem dziecka. I każdy myślał przede wszystkim o tym. Cały czas czuła na sobie wszystkie te zgorzone, ale jednocześnie zachwycone spojrzenia: tę mieszaninę wrogości, potępienia i zazdrości. Udawała, że nie zdaje sobie z tego sprawy lub, że zupełnie się nie przejmuje i chyba większość obecnych uwierzyła. Nie udało się jednak oszukać Gilesa, który co chwila rzucał jej przeszywające spojrzenia spod zmarszczonych brwi. Wyglądało też na to, że nie oszukała Andrew.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą - powiedział w pewnej chwili.

- Naprawdę? - zaśmiała się z cieniem gorzkości. Wolałaby, aby Andrew nie był aż tak spostrzegawczy.

- Cóż, przypuszczam, że miałam dość ciężki rok.

- Wiem, że miałaś, Leonie - powiedział delikatnie.

- Radzenie sobie z tym wszystkim musiało być naprawdę stresujące. Mam tylko nadzieję, że to całe małżeństwo nie pogorszyło sprawy.

- Angela za dużo papie - skrzywiła się Leonie.

- Hm. Wybacz, jeśli nie życzyłaś sobie, abym wiedział.

Miał uroczy uśmiech i rozumiejący wyraz twarzy.

- Nie, właściwie to nie mam nic przeciw temu

- powiedziała szczerze. - Poza tym, są też dobre rzeczy... Mam na przykład wspaniałego synka, sama też jestem zdrowa... Czegóż więcej trzeba?

- Jeśli tylko jest coś, co mógłbym, zrobić... Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dzięki, jesteś naprawdę bardzo miły, Andrew. W tym

momencie podszedł do nich Giles.

- Powinniśmy już wychodzić. Mówiłaś, że chcesz wrócić wcześniej, żeby nakarmić dziecko - przypomniał chłodno.

- To wciąż jest karmiony w nocy? - zapytał Andrew z ciekawością fachowca i Leonie ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Zwykle śpi spokojnie do porannego karmienia, o szóstej, ale czasami jest głodny w nocy i wtedy się budzi. Dzięki Bogu, zdarza się to coraz rzadziej.

- Wygląda na to, że masz idealnego syna - westchnął Andrew z zachwytem. - Muszę go koniecznie zobaczyć!

- Gdy przyjedziesz do swojej matki, wpadnij koniecznie i do nas - zapraszała spontanicznie Leonie.

- Wychodzimy, czy nie? - przerwał cierpko Giles, zanim jeszcze Andrew zdążył odpowiedzieć. Złapał ją za ramię i odeszli. Leonie nawet nie zdążyła pożegnać się z kimkolwiek.

- Cudowne przyjęcie, bawiliśmy się świetnie, ale obawiam się, że musimy już iść. Samochód czeka. Dziękujemy za zaproszenie - wyrzucił z siebie Giles przy drzwiach, gdzie stał jego dziadek.

- Cieszę się, że ci się podobało, chłopcze - powiedział lord Cairnmore z lekką ironią. - Nie byłem tego taki zupełnie pewien.

Giles wzruszył ramionami, a jego dziadek roześmiał się i powiedział do dziewczyny:

- Leonie, miło było cię poznać i zamierzam niedługo was odwiedzić. Chcę zobaczyć najnowszy dorobek rodziny Kentów.

Leonie uśmiechnęła się ciepło.

- Oczekuję tej wizyty z radością, lordzie Cairnmore.

- Harry - przypomniał i nachylił się, aby pocałować ją w policzek.

- Dobranoc, sir - mruknął Giles ponurym tonem i pociągnął Leonie do wyjścia.

Na zewnątrz była mroźna, zimowa noc. Bezchmurne niebo usiane było tysiącem gwiazd. Leonie nie miała jednak czasu, by się tym zachwycić. George już czekał. Wsiadł do samochodu i w chwilę później jechali z powrotem do Warlock House.

Siedziała i patrzyła w ciemność przez okno samochodu. Giles sprawiał wrażenie, jakby nie mógł ścierpieć jej widoku. A ona, tak, ona za nim szalała.

Dlaczego życie jest takie podłe?

SR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy wrócili do Warlock House, pani Kent już spała i w całym domu panował mrok. Leonie natychmiast skierowała się ku schodom na górę.

- Jestem zmęczona - rzuciła przez ramię. - Zajrzę do Mała i jeśli śpi, idę prosto do łóżka.

Giles nie odpowiedział. Wszedł do pokoju gościnnego, oświetlonego bursztynowym światłem jarzącej się lampki nocnej. Leonie usłyszała brzęk karafki, a potem odgłos nalewanego płynu. Czy nie pił już wystarczająco dużo na przyjęciu? Choć, właściwie, nie sprawiał wrażenia oszołomionego alkoholem. Poza tym Leonie знаła go już na tyle, aby wiedzieć, że ma mocną głowę.

Weszła na górę i nasłuchując zatrzymała się przy drzwiach pokoju dziecinnego. Susan zapewne dawno już spała. Leonie otworzyła drzwi i cichutko, na palcach, podeszła do kołyski ze śpiącym dzieckiem. Mał spał słodko, zwinięty na prawym boczku. Leonie korciło, by się nachylić i ucałować ten posapujący pyszczek, ale malec mógłby się obudzić. Popatrzyła więc tylko na niego, po czym wycofała się bezszelestnie i zamknęła za sobą drzwi. Przy odrobinie szczęścia będzie spał do rana - pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła, znalazłszy się w swoim pokoju, było zrzucenie wysokich szpilek. Odtrąciła je z ulgą, ziewnęła przeciągle i nagle zdała sobie sprawę, że jest naprawdę bardzo zmęczona. Z niemałym wysiłkiem sięgnęła do suwaka na plecach. Zdejmowanie obcisłej sukienki było równie trudne, jak wciskanie się w nią - chyba, że ktoś był mistrzem akrobatyki.

Giles wciąż miał klucz do jej pokoju, więc postanowiła, że zabarykaduje drzwi krzesłem. Dla zasady, bo przecież nie próbował jej nigdy nachodzić.

Zdjęła sukienkę i schowała ją do szafy. Teraz miała na sobie tylko jedwabny, czarny gorset, który podnosił jej piersi i jeszcze bardziej wyszczuplał cienką talię, nadając całej figurze idealny kształt. Gorset

kończył się tuż nad udami ozdobną, koronkową lamówką. Jego czerń ostro kontrastowała z jasną karnacją skóry, co dawało niezwykle podniecający efekt.

Dziewczyna przeciągnęła się leniwie i usiadła na łóżku, aby zdjąć pończochy. Ziewnęła, zgięła lewą nogę, oparła ją na brzegu materaca i pochyliła się lekko do przodu. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Giles, na którego widok Leonie wytrzeszczyła w przerażeniu oczy i dosłownie zamarła, z ręką na odpinanej właśnie podwiązce.

Nie powiedział ani słowa. Stał i patrzył, a serce dziewczyny biło tak mocno, jakby za chwilę miało rozerwać ściśnięte piersi.

- Wyjdź z mojego pokoju! - wyszeptała w końcu.

- Ach, więc właśnie to kryło się pod tą skąpą, czarną sukienką - powiedział.

- Odejdź stąd - powtórzyła, starając się, aby głos jej brzmiał gniewnie. Było w nim jednak tylko zmieszanie.

- Zastanawiałem się nad tym przez cały wieczór - przyglądał się jej w sposób, który budził dziwny niepokój - i załóżę się, że inni faceci też. Widziałem, jak na ciebie patrzyli. Oczy o mało nie powyłaziły im z orbit. Każdy z tych idiotów wyobrażał sobie, co kryje się pod tą sukienką.

Leonie bała się krzyknąć, by nie obudzić Mała. Czerwona z oburzenia wyszeptała więc ze zdławioną furią:

- Wystarczy! Teraz już idź!

- Nie tak prędko - wycedził. - Przynajmniej, dopóki nie porozmawiamy.

- O tej porze?

Czuła narastające przerażenie, ale starała się tego nie okazać w obawie, by jeszcze bardziej go nie rozdrażnić.

- Jest już bardzo późno - zmusiła się do uprzejmego tonu. - Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, możesz poczekać do jutra.

- Nie mogę.

- Posłuchaj, właśnie przygotowywałam się do snu.

- Właśnie widzę.

Szare oczy błędziły po jej skąpo okrytej postaci z ironiczną bezczelnością. Leonie miała ochotę po prostu go uderzyć. Jak śmiał patrzeć na nią w ten sposób?!

- Poza tym, nie mamy sobie nic do powiedzenia - rzuciła ostro.

- Wiesz, że to nieprawda - mruknął Giles i nagle, ku jej całkowitemu zaskoczeniu, ukląkł przed nią.

- I oto jestem u twych stóp - zauważył lekko kpiącym tonem, po czym uniósł rękę, aby dotknąć jej uda.

Jego zachowanie kompletnie wytrąciło dziewczynę z równowagi.

- Co ty sobie wyobrażasz... co robisz... - szeptała.

- Widzisz, co robię - mruknął i powoli zaczął rozpinać koronkowe podwiązki.

Jego chłodne palce delikatnie ocierały się o skórę Leonie. Dreszcz nagłego podniecenia wstrząsnął jej ciałem i dziewczyna nerwowo zacisnęła pięści. Miała ochotę uderzyć samą siebie za ten spazm własnych, zdradliwych zmysłów.

- Przestań - powiedziała słabo, starając się ukryć to, co naprawdę czuła.

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek i wydał usta, jakby coś go nagle bardzo rozśmieszyło.

- Czyż nie zdejmowałaś ich, gdy wszedłem? Powoli zaczął zsuwać pierwszą pończochę.

- Wolałabym zrobić to sama - szepnęła, drżąc coraz silniej.

Zaśmiał się z wesołą kpina.

- Ależ tak, tylko że mnie sprawi to o niebo większą przyjemność.

Leonie miała wrażenie, że jej skóra płonie pod miękkim dotykiem opuszków jego palców. Ogarniała ją coraz większa gorączka. Nie była w stanie pozbierać myśli. Tymczasem Giles powoli zdejmował jej drugą pończochę, delikatnie przesuwając dłońmi po wewnętrznej stronie jej napiętych ud.

- Masz cudowne, wspaniałe nogi - powiedział, wpatrując się w nie zamglonym wzrokiem. - Piękne, szczupłe kostki, śliczne stopy i takie gładkie uda...

Druga pończocha opadła na podłogę, a on wciąż głaskał jej nagą

skórę. Każde dotknięcie tych smukłych palców wzbudzało w dziewczynie dławiący dreszcz rozkoszy. Nie, nie może się temu poddać!

Wyrwała stopę z jego dłoni i poderwała się, nie bardzo wiedząc, jak ma się dalej zachować. Jak skłonić go do wyjścia z pokoju?

Giles podniósł się także i zanim zdołała się odsunąć, ujął ją za nagie ramiona, zmusił, aby się do niego odwróciła i przyciągnął tak blisko, że ich ciała prawie się zetknęły.

Wciąż był w swoim wieczorowym garniturze. Uroczysty i poważny wygląd tego stroju stanowił dziwny kontrast z prawie nagą Leonie. Wyglądało to dwuznacznie i zmysłowo.

- Puść mnie! - zaprotestowała i próbowała się wyrwać.

- Nie, dopóki nie porozmawiamy.

- Zrobimy to jutro!

- Czekałem już wystarczająco długo – powiedział Giles i na jego twarzy pojawiło się napięcie. - Dziś zrozumiałem, że jeszcze trochę, a będzie za późno.

- O czym ty mówisz? - spojrzała na niego zupełnie zdezorientowana.

- A o czym, na litość boską, mogę mówić? O tej namiastce naszego małżeństwa, Leonie!

Poczuła lód w sercu. Giles przyszedł żądać separacji. Od początku było wiadomo, że taki będzie koniec. Dlaczego więc ogarnia ją teraz rozpacz?

Przełknęła ślinę i uniosła dumnie głowę.

- W porządku. Wyprowadzę się, kiedykolwiek zechcesz.

Możemy się rozwieść, separować, anulować małżeństwo, cokolwiek. Ale Mała zabieram ze sobą!

- Nie będzie żadnego rozwodu! - W oczach Gilesa na powrót błyszczała groźba. - Żadnego rozwodu, żadnej separacji, a ty nigdzie się nie wyprowadzasz. Jesteś moją żoną i zostajesz tu, ze mną!

Spojrzała na niego nieprzytomnie, zbyt oszołomiona, aby zrozumieć, co powiedział.

- Ale... wobec tego... co chciałeś mi powiedzieć? Zaśmiał się

szorstko i jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie. Silne dłonie zacisnęły się na nagich plecach dziewczyny.

- To, co słyszałaś. Czas najwyższy, abyś zdała sobie wreszcie sprawę z faktu, że jesteś moją żoną. I to jest prawdziwe małżeństwo.
- Mówił powoli i dobitnie, po każdym wypowiedzianym słowie rozpinając kolejny, srebrny zatrzask gorsetu Leonie.

Poczuła, jak delikatny materiał zsuwa się z ciała.

- Nie! - zaprotestowała zdławionym szeptem.

W głowie jej huczało. Skronie pulsowały pod naporem kłębiących się myśli. Na pewno odkrył, że go pokochała i postanowił to wykorzystać! Nie licząc się z jej uczuciami! Co to za bezlitosny, bezwzględny człowiek! Jak może? Dławiąca gorycz chwyciła ją za gardło. Wiedziała przecież, że jej nie kocha. Dobrze rozumiała zimny gniew w jego oczach, kiedy spoglądał na nią podczas przyjęcia - to było to samo spojrzenie, którym mroził ją tyle razy w przeszłości. Nienawidził jej od samego początku i teraz chce się z nią kochać - z pogardy i chęci zadania jej bólu. Chciał się zemścić za Malcolma...

Ogarniała ją coraz większa panika. Nie! Nie może mu na to pozwolić! To by ją zniszczyło! Zostanie jej tylko pogarda dla samej siebie. Pogarda za to, że mu się poddała, pogarda za własne, nierozumne uczucie, którym go darzyła.

- Nie! - powtarzała na głos, coraz gniewniej. Próbowwała go odepchnąć, lecz on był silniejszy.

Gorset upadł na ziemię i oto, drżąc i łkając, stała naga w jego ramionach.

- Nie będę... Puść... Nienawidzę cię...

- To bardzo niedobrze - westchnął - bo ja wcale nie zamierzam cię puścić, Leonie. Moja cierpliwość się skończyła.

Pochylił głowę i gorące usta spoczęły na jej nagim ramieniu.

Zadrżała z nagłej rozkoszy. Nie mogła znieść świadomości, że on czyta z wyrazu jej oczu. Nie chciała dopuścić, aby wiedział, co ona czuje. Z ciężkim westchnieniem oparła czoło na jego ramieniu, wtuliła twarz w koszulę i przestała walczyć. Stała drżąc pod dotykiem zaborczych dłoni, które z coraz większą siłą przesuwały

się po jej ciele. Ogarnęło ją bezradne, niepohamowane, niszczące pożądanie.

Nagle poczuła, jak jego dłoń dotyka jej podbródka i unosi twarz w górę. Zmusił ją, aby spojrzała mu w oczy i wtedy zobaczyła w nich pragnienie tak gwałtowne, jak bezlitosny huragan, jak sztorm. Może ją nienawidził, ale nie było wątpliwości, że jej pragnął. Na samą myśl o tym nogi się pod nią ugięły i gwałtownym ruchem chwyciła go za szyję, aby nie upaść.

- Giles, nie...

- Jestem u granic wytrzymałości - szepnął. - Nic mnie teraz nie zatrzyma. Czekałem tak długo. Całe życie. Po śmierci Malcolma oczywiście wiedziałem, że jest zbyt wcześnie, aby nawet o tym myśleć...

Co? Oniemiała, wpatrując się w niego. Po śmierci Malcolma? Za wcześnie, aby myśleć o czym? Na co było za wcześnie? Zanim zdążyła go o to zapytać, zaczął szybko mówić, jakby nagle wstąpiła w niego jakaś dziwna moc.

- Postanowiłem sobie, że poczekam kilka miesięcy... Ale gdy twoja matka powiedziała mi, że wyjechałaś do Włoch, zdecydowałem, że zaryzykuję i pojedę za tobą...

- Co? - powtórzyła z niedowierzaniem i zobaczyła, jak twarz Gilesa pokrywa się ciemnym rumieńcem. Jego głos przybrał teraz jeszcze bardziej stanowczy ton.

- Tak. Pojechałem za tobą. Nie musiałem jechać do Włoch osobiście, ale to, że konieczność podróży służbowej wynikła właśnie wtedy, kiedy ty tam jechałaś, zdawało się być dobrym znakiem. Nie mogłem przepuścić takiej okazji. W dniu, kiedy przyszedłem do waszego hotelu, wy akurat wybrałyście się do Ravenny. Znów pojechałem za tobą i widziałem cię. Byłaś nawet bardziej przyjazna niż kiedykolwiek przedtem... Płakałaś w moich ramionach, ale nie miałem wątpliwości, że wciąż opłakujesz Malcolma. Byłbym głupcem tracąc czas, więc nie zostałem dłużej.

Była tak zaskoczona, że ich spotkanie w Ravennie nie było przypadkowe, że nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby teraz

powiedzieć - i tylko wpatrywała się w niego.

Poruszył się niespokojnie. Wcale nie było mu łatwo o tym wszystkim mówić. Dla Gilesa Kenta spowiadanie się z uczuć było rzeczą poniżającą.

Zacisnął jednak szczęki i kontynuował z zawziętym uporem:

- Tak więc wróciłem do domu mówiąc sobie, że jeszcze za wcześniej... Uspokoilem się, postanowiłem odczekać pół roku i spróbować znów - zaśmiał się gorzko. - Wtedy dowiedziałem się, że jesteś w ciąży! Boże, to był szok! Gdyby Malcolm wiedział, ale śmiałyby się ze mnie...

Drgnęła. Przeraził ją i zadziwił błysk zazdrości w jego oczach.

- Byłem wstrząśnięty - powiedział ochryple. - Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Malcolm sięga z zaświatów, roszcząc sobie prawo do ciebie. Byłem zazdrosny o własnego brata i to nawet po jego śmierci! - Przesunął ręką po twarzy i westchnął ciężko. - Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, ale kiedy pierwsze wzburzenie minęło, zrozumiałem, że wciąż cię kocham i pragnę tak samo. A dziecko było częścią ciebie, więc także je pokochałem. Zrozumiałem, że ono zmienia wszystko, że to jest pretekst, by cię częściej widywać... Że ten malec może być tym, co nas połączy.

Leonie była oszołomiona i dezorientowana. Giles ukazywał miniony rok ich wzajemnych stosunków w zupełnie innym świetle. Nie wiedziała, w co teraz wierzyć.

- Oczywiście, wszystkie moje groźby, że zostanę opiekunem dziecka i ci je zabiorę, były czystą fantazją! Żaden sąd nigdy nie przyznałby mi racji. Dobrze o tym wiedziałem...

- Wyssałeś to wszystko z palca?! -jęknęła.

- Pragnąłem cię z taką desperacją, że byłem w stanie powiedzieć wszystko - przyznał stłumionym głosem. - Nie sądziłem, że uwierzysz. Każdy prawnik powiedziałby ci, że plotłem bzdury. Żaden sąd nie odebrałby ci dziecka, ani nie uczyniłby mnie jego opiekunem, póki żyje matka. Łapałem się ostateczności. Wszystko, by tylko utrzymać kontakt z tobą i z dzieckiem. Szczególnie po tym, gdy powiedziałaś mi, że będziesz mieszkała z tym Colpittem.

- Nic takiego nie powiedziałam! Mieszkanie należało do jego matki! Ile razy mam ci powtarzać, że między nami nic nie było! - Leonie aż poczerwieniała z oburzenia.

- Może i tak - skrzywił się. - Ale to wcale nie oznacza, że nie miał na ciebie ochoty. Widziałem, jak na ciebie patrzył i dobrze wiem, o czym myślał. Zresztą rozumiem go, sam też o tym myślę, kiedy na ciebie patrzę!

Spuściła oczy, lecz on sapnął zniecierpliwiony.

- Nie patrz w ten sposób! Skończyły się moje kłamstwa i udawanie. Od teraz zamierzam mówić tylko to, co czuję naprawdę. Nawet, jeśli ci się to nie podoba.

- Prawdę powiedziawszy - szepnęła zduszonym głosem - wydaje mi się to wszystko trochę niewiarygodne. Nie dałeś mi nigdy do zrozumienia, że... - nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, więc znów spuściła wzrok i dokończyła: - Że... że mnie lubisz...

- Lubie?! Boże! Większość czasu, kiedy nie śpię, spędzam na usilnych staraniach, aby ręce trzymać z daleka od ciebie!

Gorący rumieniec zawstydenia i radości wypłynął na delikatną twarz dziewczyny.

- A ja myślałam, że dostawałeś szału na mój widok.

- Owszem - powiedział szorstko - szalałem z bezsilności.

Ogarniały mnie gniew i rozpacz. Musiałem czekać tak długo...

Zadygotała, słysząc tyle emocji w jego głosie. Boże, gdyby tylko mogła mu uwierzyć! Jeśli Giles naprawdę ją kocha, to mogą być szczęśliwi! Małżeństwo byłoby w końcu prawdziwe... Ale, jeśli kłamie?

- Ponieważ właśnie urodziłaś dziecko, obawiałem się próbować zbyt szybko, by cię nie odstraszyć. Dziś zrozumiałem, że jestem głupcem. Musiałem stać i patrzeć, jak flirtowałaś z innym mężczyzną...

- Wcale tego nie robiłam!

Twarc mu pociemniała. W oczach znów czaił się gniew.

- Nazywaj to, jak chcesz, ale ja już nigdy nie zamierzam przyglądać się spokojnie, kiedy ty uśmiechasz się w ten sposób do

Andrew Colpitta!

Leonie przypomniała sobie własny ból, gdy widziała Gilesa w ramionach innej kobiety. Powrócił strach i niepewność.

- Jesteś pewien, że nie byłeś zazdrosny tylko dlatego, że był ze Stephanie? - rzuciła mściwie.

- Żartujesz - roześmiał się. - Jeśli miałbym poważne zamiary w stosunku do Steff, nigdy bym z nią nie zerwał. Skończyłem to, bo nie znaczyła dla mnie wiele i nie byłoby fair robić jej nadzieję, skoro wiedziałem, że nigdy nie będzie inaczej.

Leonie nie była w stanie powstrzymać długiego westchnienia ulgi. Poczł drżenie jej ciała.

- Leonie? - spojrzał na nią w napięciu - czy byłaś... przeszkadzało ci... no, wiesz, ja i Steff? Czy miało to dla ciebie znaczenie?

Nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa, ale on i tak zrozumiał.

- Kochanie, moja kochana... - pochylił się ze wzruszeniem i obsypał delikatnymi pocałunkami jej szyję, policzki, ramiona...

Szybkie, przelotne muśnięcia gorących ust wprawiły ją w zupełne oszołomienie. Wciąż nie była pewna, co się właściwie dzieje. Jak ją nazwał?

- Kochanie - powtórzył drżącym głosem. Uniosła wzrok. Ciemnoniebieskie oczy badawczo przyglądały się jego twarzy. Chciała mu wierzyć. Pragnęła zobaczyć szczerłość w jego czarnych źrenicach.

I wtedy Giles uniósł ją w ramionach, podszedł do łóżka i ułożył na nim tak delikatnie, jakby Leonie była zrobiona z porcelany i mogła się stłuc. Sam przyklęknął obok i przesunął ręką po jej czole i skroniach, odgarniając z nich falę srebrzystych włosów.

- Czekałem tak długo - usłyszała jego szept. - Boję się ciebie dotykać, bo jeśli jest to sen, to nie chcę go przerwać. Śniłem ten sen tyle razy...

Delikatnie wodził palcem po jej twarzy - brwi, nos, linia ust...

- Jesteś taka piękna, taka urocza. Gdy cię zobaczyłem po raz

pierwszy, po prostu odebrało mi oddech. Jedno spojrzenie i oszalałem na twoim punkcie. Boże, gdybym tylko spotkał cię pierwszy! Marzyłem o tym, choć wiedziałem, że to głupie, bo kochasz Malcolma i nie czujesz do mnie nawet cienia sympatii.

To prawda, pomyślała marszcząc brwi. Nie lubiła go, zanim jeszcze się spotkali. To, co Malcolm opowiadał o swym starszym bracie, od razu nastawiło ją negatywnie. Czyżby Malcolm robił to umyślnie? Czy Malcolm chciał, aby byli wrogami? No, przynajmniej nie kłamał. Giles naprawdę był przeciwny ich małżeństwu. Leonie wiedziała o tym i zniechęciła go za to. Niby wmawiała sobie, że chce zaprzyjaźnić się z nim i z panią Kent, lecz podświadomie dążyła do konfliktu. I napotkała to, czego skrycie pragnęła - otwartą wojnę.

- Nie ułatwiłaś mi tego, bym cię polubiła - powiedziała czule. - Ty i twoja matka otwarcie daliście mi do zrozumienia, że nie byłam pożądanym gościem w waszym domu.

- Och, byłaś pożądanym gościem. Jeszcze jak pożądanym! - jęknął, patrząc na nią pociemniałymi oczami w sposób, który przyprawił ją o kompletny zawrót głowy. - Na tym właśnie polegał cały problem! - dodał namiętnie. - Pragnąłem cię diabelnie i musiałem to ukrywać. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Byłem zbyt zazdrosny, żeby myśleć rozsądnie. Nie mogłem pozwolić, żebyś domyśliła się, co czuję. Obojętność i gniew były dla mnie sposobem na ukrycie prawdziwych uczuć. To dlatego zawsze byłem dla ciebie taki nieprzyjazny.

- Oj, byłeś - zaśmiała się, a on spojrzał na nią tak, że straciła oddech.

I wtedy Giles pochylił głowę i nabrzmiałymi ustami wpił się w jej wargi. Zarzuciła mu ręce na ramiona, przymknęła oczy i z radosnym westchnieniem oddała pocałunek. Przywarła do niego ze wszystkich sił, zaciskając kurczowo dłonie na jego plecach. Leonie zaszlochała w uniesieniu. Giles rozchylił usta z cichym jękiem:

- Kocham cię. Boże, jak ja cię kocham... Ogarnęło ją przytłaczające poczucie szczęścia. Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś takiego. Tak chyba musi być w niebie, pomyślała, i z trudem

zdołała wyszeptać:

- Kocham cię, Giles. Zesztywniał.
- Nie mów tak tylko dlatego, że litujesz się nade mną...
- Och, pokochałam cię już jakiś czas temu - wyznała. - I byłam przerażona. Myślałam, że postradałam zmysły, zakochując się w kimś, kto mnie nie cierpi. Teraz wiem, że kochałam cię, jeszcze zanim się pobraliśmy. To dlatego zgodziłam się na to małżeństwo. Nie dlatego, że mnie szantażowałaś.

Spuścił głowę zawstydzony.

- Byłem doprowadzony do rozpacz. Bałem się, że odejdziesz z kimś innym i wymyśliłem tę szaloną groźbę. Ale nigdy nie odebrałbym ci Mała. Przysięgam - w jego głosie brzmiała skrucha. - Błagam, wybacz, że tak postąpiłem. Wiem, był to okrutny sposób zdobycia tego, czego tak pragnąłem. Zdaje się, że zasłużyłem na twój gniew...

- Owszem, zasłużyłeś - powiedziała niby to z zimną ironią. Wiedziała, przyznawał się do winy tylko dlatego, że był pewien, że ona mu przebaczy.

Wyglądał jednak na zaniepokojonego. Przysunął się bliżej, usiłując odczytać jej myśli z wyrazu twarzy.

- Leonie, czy jesteś bardzo zła? Udała, że się nad tym zastanawia.

- Musiałbyś przysiąc, że nigdy nie zrobisz mi czegoś podobnego...

- Przysięgam! - powiedział szybko, ale wciąż widać było napięcie w jego oczach.

Poddała się.

- Cóż, nic chyba nie mogę poradzić na to, że za bardzo cię kocham, aby się na ciebie długo gniewać...

Jego ramiona przyciągnęły ją mocniej do siebie. Dzikie pocałunki na powrót zaczęły pokrywać jej oczy, włosy, policzki, szyję, usta...

- Leonie, kochanie... Kocham cię... kocham... Leonie zaczęła rozpinąć jego koszulę i spodnie.

Upadli na łóżko. Giles jęknął i w gorączkowym pośpiechu wgryzł

się w rozchylone usta dziewczyny. Ich ramiona splotły się w szaleńczym uścisku, ich ciała połączyły się w niezaspokojonej żądzę. Coraz dalej, mocniej, coraz goręcej... i nagle usłyszeli płacz dziecka.

- Nie! - wykrzyknął Giles. - Na litość boską, Mal, nie teraz!
Ale płacz tylko się wzmógł.

Unieśli głowy i Leonie zachichotała bezradnie:

- On wcale nie zamierza przestać!

- Może Susan go usłyszysz? - zasugerował z nadzieją w głosie Giles. - Przecież dziś i tak jej kolej, ona ma wstawać w nocy do Mala, prawda?

- Tak, ale po wczorajszej eskapadzie na pewno śpi jak zabita. - Leonie podniosła się i westchnęła. - Muszę iść.

- Musisz? - jęknął, całując jej nagie ramię. - Niech płacze, jak nikt nie przyjdzie, to może zwątpi i zaśnie?

- Albo zacznie krzyczeć tak głośno, że obudzi twoją matkę!

Delikatnie oswobodziła się z jego zaborczych ramion i zsunęła z łóżka. Założyła jedwabny szlafrok i poszła do pokoju Mala. Nie spodziewała się, że Giles podąży za nią, lecz on zjawił się tam już w kilka chwil później. Też miał na sobie szlafrok, a zmierzwiłone jeszcze przed chwilą włosy były na powrót idealnie gładko zaczesane.

Gdy wszedł do pokoju, Leonie siedziała na stołeczku i karmiła dziecko. Podeszedł po cichu i przyklęknął obok, obserwując ją oczyma pełnymi zachwytu. Uśmiechnęła się, wzruszona ciepłem i łagodnością jego twarzy. Czy Giles może być kiedyś zazdrosny o jej miłość do syna? Nie, to chyba niemożliwe.

Czule wyciągnął dłoń, aby dotknąć włosów dziecka. Delikatnie odsunął czarne kędziorki ze spoconego, małego czółka i Mal otworzył oczka. Spojrzał na Gilesa, po czym na powrót skoncentrował się na jedzeniu. Różowe paluszki zaborczo ścisnęły nabrzmiąłą matczyną pierś.

- Tak mi przykro, że wybrał zły moment - szepnęła Leonie.

- Nic nie szkodzi - Giles ogarnął ją namiętym spojrzeniem i pochylił się, by ucałować białą pierś karmiącą dziecko. - Mogę poczekać. Czekałem na ciebie tak długo, Leonie, więc mogę

wytrzymać jeszcze pół godziny.

Jeśli on może być cierpliwy - to ona tym bardziej. Było to jednak najdłuższe trzydzieści minut w całym życiu Leonie Kent.

SR